

Steward Sally
(Sally Carleen)
Następcą tronu

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Drzwi Otworzyły się z hukiem i Joshua, tak szybko, jak pozwalały mu na to jego malutkie nóżki, rzucił się ku matce. Za nim, radośnie szczekając, wybiegł duży pies, który miał w sobie coś z jamnika i coś z owczarka szkockiego, choć tak naprawdę wyglądał jak koń i był zwykłym mieszańcem. Jego radosne szczekanie niczym echo wtórowało okrzykom dziecka:

- Mama, mama, mama!

Mandy Crawford podbiegła do ganku i, jak zwykle, złapała Josha w momencie, gdy miał fiknąć kozła z trzech schodków. Chłopczyk aż krzyknął z radości, gdy matka uniosła go nad głowę i zawirowała z nim jak karuzela.

- Jak tam, syneczku? Dasz mamusi całuska?

Mały zrobił śmieszłą minę i pociesznie cmoknął Mandy w policzek.

Pies, szczekając i merdając ogonem, niecierpliwie czekał na przywitanie swojej pani. Mandy przez chwilę bawiła się jego uszami - jednym oklapłym i drugim, wiecznie czegoś nasłuchującym.

- Książę, dobry piesek - pochwaliła go, wiedząc, jak bardzo chciałby, wskoczyć jej na ramiona. Nie robił tego, gdyż miała na sobie wyjściowe ubranie.

- Dobry piesek - zawtórował Josh i zaczął wrywać się, by pocałować psa.

- Masz dobre serduszko, kochanie, ale pieska nie wolno całować. - Mandy weszła z chłopcem do domu. - Byłeś dzisiaj grzeczny? Słuchałeś się babci?

Babcia, Nana, ciocia Stacy - tylko te słowa dało się zrozumieć z jego dziecięcego gaworzenia, ale Mandy i tak czuła się dumna, wszak rodzina była dla niej najważniejsza.

- Mamó! Już jestem! - zawołała. - Chyba czuję zapach pieczonego kurczaka. Kiedy wróci tata? Pewnie dziś zamknie sklep wcześniej. Jest tak gorąco.

- Jesteśmy w kuchni, kochanie. - Głos matki był jakiś nienaturalny.

Mandy zawahała się. Poczowała lekki niepokój. Odkąd trzy lata temu zmarł jej dziadek, wszędzie doszukiwała się kłopotów. Musi

wziąć się w garść. Życie nie jest takie złe, nie można ciągle się bać.

Trzymając Josha za rękę, minęła jadalnię i weszła do starej, przestronnej kuchni. Było to jasne pomieszczenie, zalane złotym światłem padającym z okien i przez przeszklone drzwi prowadzące na tylnie podwórko. Pomalowane na biało szafki odbijały i wzmacniały światło, a żółte zasłony, wiszące po bokach okien, lekko trzepotały w podmuchach wentylatora. Kuchnia była ulubionym miejscem Mandy. To właśnie tutaj przeważnie zbierała się cała jej rodzina.

Stojąc przy kuchence gazowej, matka Mandy układała na talerzach porcje kurczaka. Nie mogło być mowy o pomyłce - na jej twarzy wyraźnie rysował się niepokój. Mandy poczuła mrowienie na plecach. Czy matka była chora? A może coś się stało z dzieckiem, które niedługo miała urodzić jej bratowa?

Niczym potężny magnes, jej wzrok przyciągnął prostokątny dębowy stół, zajmujący prawie połowę kuchni. Dopiero teraz dostrzegła nieznanego, który siedział między jej siostrą Stacy a babcią. Mężczyzna wstał z krzesła.

Mimo ciągle pracującego wentylatora, w pomieszczeniu było duszno. Jednak powaga na twarzach domowników sprawiła, że Mandy poczuła chłód na całym ciele.

- Mandy, mamy gościa - oznajmiła matka dziwnie stłumionym głosem.

Dziewczyna przyjrzała się uważniej wysokiemu, eleganckiemu mężczyźnie. Był bajecznie przystojny, miał kwadratową szczękę i wyraziste rysy twarzy. Jego włosy były tak czarne, jak letnie niebo tuż przed świtem, a niebieskie oczy przypominały to samo niebo godzinę później. Przez chwilę w tych oczach można było dostrzec głębię i kuszącą obietnicę, lecz pewnie była to tylko złudna gra światła. W następnym momencie jego spojrzenie było tak lodowate, jak mroźny styczniowy dzień, kiedy to trudno marzyć o końcu zimy.

Mandy czuła, że coś ją do niego przyciąga, lecz jednocześnie nieznanomy wzbudzał w niej strach.

Na jego twarzy malowało się opanowanie i stoicki spokój. Stał wyprostowany niczym żołnierz, jakby we krwi miał wojskowe reguły i karność. To zachowanie doskonale pasowało do jego

nienagannego ciemnego garnituru, białej koszuli i konserwatywnego krawata. Był jednak lipiec i nikt w Teksasie nie nosił teraz garnituru.

Matka Mandy zgasiła płomień pod pustą patelnią i, nie wiedząc, co zrobić z rękoma, skubała nerwowo swój fartuch.

- Mandy, to jest Stephan Reynard. Panie Reynard, a to moja córka, Mandy.

Stephan Reynard, księżę Kastylii!

O Boże! Przecież to jest wujek jej adoptowanego synka! Brat Lawrence'a, ojca Josha.

Smakowity zapach pieczonego kurczaka stał się nagle mdły i nieapetyczny. Pokój zawirował jej przed oczyma, a wyraźnie widziała jedynie twarz gościa.

Gwałtownie chwyciła Josha i przycisnęła go rozpaczliwie do piersi. Od razu powinna dostrzec podobieństwo Stephana do jego brata. Mieli podobne rysy twarzy i to samo, sztywne zachowanie. Jednak oczy Lawrence'a Reynarda były czule i smutne, jak oczy poety i marzyciela. Stephan na pewno nie był ani poetą, ani marzycielem, bo jego oczy patrzyły na świat z chłodnym dystansem.

- Dzień dobry, panno Crawford. - Akcent miał taki sam jak brat... jakby brytyjski, ale z głęboką nutką jakiegoś innego - szkockiego, może irlandzkiego.

- Czego pan chce? - chłodno burknęła Mandy.

Jej szesnastoletnia siostra stała z bolcu ze skrzyżowanymi na piersi rękoma.

- Hej, Josh, chodź do cioci Stacy. Pójdziemy pobawić się z Księciem.

Josh wyciągnął rączki w kierunku dziewczyny, a Mandy, chociaż niechętnie, pozwoliła mu z nią odejść.

- Z księciem? - zapytał Reynard, unosząc ciemne brwi ze zdziwienia.

- To nasz pies - odrzekła dumnie Mandy. - Nazywamy go Księciem, ale czasami bywa tu nawet królem...

- Rozumiem - powiedzie.

Szklane drzwi trzasnęły za Stacy i Joshem.

- No dobrze, czego pan od nas chce? - Mandy ponowiła pytanie, tym razem bardziej natargywie.

- Mandy! - Matka upomniała ją surowo. - Gdzie są twoje dobre maniere? Pan Reynard jest naszym gościem.

- W porządku, pani Crawford - rzekł. - To nie wizyta towarzyska.

- Też tak myślę - syknęła Mandy.

- Może moglibyśmy porozmawiać w cztery oczy? - zapytał Reynard.

- Nie mam przed rodziną żadnych tajemnic. - Mandy skrzyżowała ręce na piersi, nie chcąc ustąpić. - Powinniśmy jeszcze poczekać na mojego ojca i brata, Darryla. No i na jego żonę, Lindę. Wtedy będziemy w komplecie. Zrobimy prawdziwe królewskie zgromadzenie. Jeśli pan o tym nie słyszał, to proszę przyjąć do wiadomości, że w Ameryce właśnie rodzina jest klasą, która rządzi.

- Mandy. - Rita Crawford podeszła do córki i objęła ją ramieniem. - Może zaprosisz pana Reynarda do salonu? Tam jest znacznie chłodniej.

Mandy w proteście potrząsnęła głową.

- Nie, to dotyczy nas wszystkich. Mam rację, panie Reynard?

Gość lekko skinął głową i wskazał na wolne krzesło przy stole naprzeciwko niego.

- Zgoda. Więc może zechce pani zająć miejsce w tym królewskim zgromadzeniu?

- Mamo, może ty usiądziesz? - Mandy uniosła brew. - Ja sobie postoję. Tak chyba będzie stosowniej w obecności monarchy.

Mężczyzna, naśladując ją, również skrzyżował ręce na piersi i Mandy zauważyła, że w jego wykonaniu był to gest o wiele bardziej wyniosły. Kąciki ust Reynarda delikatnie się uniosły, co sprawiło wrażenie uśmiechu na jego dotychczas poważnej twarzy. Mandy po raz pierwszy zobaczyła w tym mężczyźnie coś, co tak mocno i niewytłumaczalnie pociągało Alenę, jej przyjaciółkę, do Lawrence'a Reynarda. Musiała przyznać, że również Stephan miał w sobie ten sam nieodparty urok, choć okoliczności, w których się poznali, nie były miłe.

- Przed chwilą trzymała pani na rękach następcę tronu - zaczął Stephan. - Myślę, że formalności mamy za sobą.

Mandy, od momentu gdy usłyszała, kim jest ten człowiek,

zdawała sobie sprawę, o co chodzi, lecz teraz na dźwięk tych słów poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła, a puls zawrotnie przyspiesza.

To niemożliwe. Adopcja była jak najbardziej legalna. Wszystko było związane na ostatni guzik.

Jednak Lawrence ostrzegał ją, że Kastylia to wyspa rządząca się swoimi własnymi prawami. Wspomnił jej o jakimś głupim dekreście, który ustanawiał królem nieślubnego syna, jeśli nie było potomka z legalnego związku. Jednak to nie mogło dotyczyć Josha!

- Lawrence spełnił przecież swój obowiązek. - Mandy nie rozumiała, po co to całe zamieszanie. - Po śmierci Aleny wrócił na wyspę i poślubił lady Barbarę. Na pewno będą mieli dzieci. Dajcie im tylko trochę czasu i zostawcie Josha w spokoju.

- To nie słyszała pani o śmierci Lawrence'a?

- Lawrence nie żyje? - Mandy poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy.

- Pani Crawford? Wszystko w porządku?

Głos Reynarda dotarł do niej jakby zza światów. Poczuła zmieszanie i przerażenie, które jak huragan przemknęły przez jej umysł. Jeśli Lawrence umarł, nie pozostawiwszy prawowitego następcy tronu, to...

Stephan, cicho przeklinając swój nietakt, pośpiesznie pokonał odległość dzielącą go od Mandy i chwycił ją w ramiona, zanim zemdlą.

Jej blade policzki momentalnie odzyskały swój kolor, gdy tylko poczuła dotyk jego dłoni. Wzięła głęboki oddech, wyprostowała się i podniosła na niego wzrok. Jej oczy błyszczały tym samym głębokim odcieniem zieleni jak drzewa i trawa, które oglądał tuż przed lądowaniem w Dallas.

- Wszystko w porządku? - powtórzył i opuścił ręce. Zdał sobie sprawę, że wolałby usłyszeć „nie”. Miałby wtedy pretekst, by znowu ją dotknąć, podtrzymać, by wziąć jej smukłe ciało w ramiona, odgarnąć tę płataninę kasztanowych włosów z jej szyi, by wsunąć dłoń w piękne loki i przekonać się, czy rzeczywiście są jak płomień. To chyba zmęczenie po podróży samolotem i teksaski upał poprzewraca mu w głowie. Miał ważną sprawę do załatwienia i nie

powinien teraz pozwalać sobie na pożądanie jakiejś atrakcyjnej kobiety. A szczególnie kobiety, która bez wątpienia przysporzy mu nie lada kłopotów.

- Już mi lepiej. - Mandy odsunęła się od niego i usiadła na krześle.

Jej babcia ujęła gładką, szczupłą dłoń wnuczki w swoje pomarszczone ręce i uściśnęła ją, dodając otuchy.

Stephan zupełnie niespodziewanie odczuł jakąś nieokreśloną zazdrość. To absurd. Był zmęczony po długiej podróży. Czuł się wykończony, choć negocjacje dopiero się zaczął. Należą jednak do rodziny Reynardów, władców Kastylii i jako księżę nie powinien okazywać ani nawet odczuwać bezsensownych emocji.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział. - Byłem pewien, że wiecie państwo o śmierci Lawrence'a. Widocznie to, co u nas jest na pierwszych stronach gazet, w waszym kraju nie zasługuje na uwagę.

- Jak to się stało? - zapytała Mandy.

Tym razem ton jej głosu był dużo łagodniejszy od tego, którym atakowała gościa jeszcze przed chwilą.

- Zginął w wypadku samochodowym. Dwa miesiące temu.

- Tak mi przykro. Był dobrym człowiekiem.

- To prawda. Mógł być dobrym królem.

- I teraz, gdy odszedł, przyjechał pan po jego syna. - Mandy potrząsnęła powątpiewająco głową. - Nie mogę uwierzyć, że Lawrence powiedział wam o nim. Tak bardzo zabiegał o to, by pańska rodzina nigdy się o nim nie dowiedziała.

Stephan wrócił do stołu i zajął miejsce naprzeciw Mandy.

- To nie Lawrence nam powiedział. Taggartowie podróżowali po Europie i tam usłyszeli wiadomość o jego śmierci. Wkrótce skontaktowali się ze mną.

- Rodzice Aleny? Po co by to robili? - Mandy zacisnęła usta. Jej oczy przybrały odcień zielonego lodu. - Zresztą, mogę się domyślić. Pewnie gdzieś w prasie zobaczyli zdjęcie Lawrence'a i zdali sobie sprawę, kim on jest, a raczej kim był... No i odkrycie, że ojciec nieślubnego dziecka ich córki jest księciem, nagle sprawiło, że to dziecko już wcale nie przynosi im hańby. Jest wręcz potrzebne...

Stephan rozważał słowa Mandy. Od początku podejrzewał

Taggartów, że coś knują, że to bynajmniej nie poczucie obowiązku skłoniło ich do wyjawienia prawdy o dziecku. Nie podobały mu się ich pochlebstwa i miał nadzieję, że cała ta historia o niesłubnym dziecku jego brata okaże się zwykłą bujną. Niestety, nie kłamali.

Rita Crawford postawiła przed Mandy szklanek mrożonej herbaty i zajęła swoje miejsce na końcu stołu. Była niższa od córki, włosy miała jasne i proste, a oczy łagodne i niebieskie jak spokojne morze. Jednak, nawet na pierwszy rzut oka, można było poznać, że kobiety są spokrewnione. Obie nosiły głowę wysoko i dumnie, co mogło czasami wyglądać na arogancję. W oczach Rity pojawić się ten sam żar, co i w oczach córki, choć był nieco stłumiony, jakby wygaszony przez doświadczenia, jakich Mandy nie dane było jeszcze zaznać.

Vera Crawford, babcia Mandy, którą wszyscy nazywali Nana, była drobną kobietą o śnieżnobiałych włosach. Swoim dostojnym, prawie królewskim sposobem bycia sprawiała wrażenie wyższej niż była w rzeczywistości. Oczy miała zielone, choć nieco łagodniejsze niż Mandy i mimo upływu lat zachowała urodę właściwą kobietom z tej rodziny.

Gdy Lawrence pierwszy raz przybył do Ameryki, aby studiować w Dallas, uraczył Stephana opowieściami o tym, jak inne i niezależne są amerykańskie kobiety. A w szczególności kobiety z Teksasu. Mówił, że sprawiają wrażenie delikatnych, są bardzo piękne, radosne i przyjazne, lecz imponują siłą charakteru, jakby były wytopione ze stali. Żadne inne kobiety nie są jednocześnie tak piękne i tak wytrwałe.

Właśnie teraz, otoczony przez trzy takie kobiety, Stephan zrozumiał słowa swojego starszego brata.

Babcia poklepała Mandy po ramieniu i powiedziała z uśmiechem:

- Nie martw się, moja droga. Wszystko będzie dobrze. - Po czym zwróciła się do Stephana: - Porozmawiajmy, panie Reynard. Zobaczmy, co da się wymyślić.

Jeśli chodziło o niego, to widział tylko jedno rozwiązanie, lecz dyplomatycznie zgodził się na dyskusję. Położył ręce na gładkim, drewnianym stole, z niechęcią patrząc na szklanek mrożonej herbaty,

z której skroplona para ściekła na stół. Gdy Rita Crawford mu ją zaoferowała, spodziewał się, że będzie to prawdziwa, gorąca herbata, do jakiej był przyzwyczajony. Lawrence nie wspominał nigdy o mrożonej herbacie. Biorąc jednak pod uwagę panujący upał, Stephan potrafił zrozumieć potrzebę schładzania napojów.

- Wkrótce po śmierci Lawrence'a mój ojciec otrzymał list od państwa Taggartów. Napisali w nim, że podczas podróży po Europie widzieli w gazecie zdjęcie księcia Lawrence'a i rozpoznali w nim ojca ich wnuka. Mój ojciec, oczywiście, uznał to za żart, lecz posłał kogoś, by to sprawdzić. Chciał zdobyć dowody, czy Lawrence rzeczywiście był związany z ich córką.

- Lawrence i Alena bardzo się kochali - powiedziała spokojnie Mandy. - Oczywiście, księżę nie mógł poślubić zwykłej dziewczyny z ludu.

- Lawrence miał zostać królem swojego kraju. Musiał przestrzegać pewnych zasad.

- Już słyszałam te brednie. Alena mi opowiadała. Wasze prawa nie pozwalają dokonywać własnych wyborów ani się zwyczajnie zakochać. Jednak pana brat zrobił obie rzeczy naraz, mimo tych waszych zasad.

I spójrz, co z tego wynikło, pomyślał Stephan, lecz wolał zachować tę uwagę dla siebie. Mandy widocznie pochwałała łamanie królewskich praw.

- W rezultacie mamy Joshuę - powiedział.

- Mojego syna - dodał Mandy. - Adopcja była jak najbardziej legalna. Gdy dziecko przyszło na świat... - Przygryzła górną wargę i poczuła, że łzy upływają jej do oczu.

Stephan zauważył ze zdziwieniem, że i on poczuł żal, jakby emocje tej kobiety były wystarczająco silne, by wpłynąć na stan jego uczuć.

- Pewnie pan już wie, że Alena umarła zaraz po porodzie. - Mandy już opanowała się i ciągnęła dalej: - Jej rodzice byli przy niej, gdy prosiła, abym to właśnie ja wychowywała Josha. Lawrence też to słyszał. Oczywiście Taggartowie nie wiedzieli, że jest on księciem. Jedynie Alena i ja znałyśmy ten sekret. Wszystkim mówiła, że jej chłopak jest poetą. I naprawdę był. Poezja najbardziej

go pociągała. Nie chciał spędzić życia w złotej klatce, robiąc i czując tylko to, na co pozwalało wasze królewskie prawo.

- Wiem coś niecoś o tym jego hobby. Byliśmy sobie bardzo bliscy.

Stephan w zadumie oglądał swoje dłonie. Pomyślał, że widocznie jednak nie był z bratem zbyt blisko, skoro Lawrence nie powiedział mu o Alenie i dziecku.

- Pouczono go, by nikomu nie zdradzi swojej tożsamości - dodał. - Miał tu studiować, obcować z waszą kulturą i żyć tak, by nikt nie domyślał się, kim naprawdę jest. To był najlepszy sposób, by się czegoś nauczył. Poezja była jedną z jego masek.

- Poezja była częścią jego osobowości. - Mandy w sprzeciwie potrząsnęła głową. - Właśnie w tej jego poetyckiej naturze zakochała się Alena. Mniejsza o to. Bynajmniej nie królewskie wskazówki były powodem, dla którego Lawrence ukrywał swoje pochodzenie. Taggartowie mogą sobie mieć wart milion dolarów dom w Dallas... O, przepraszam, w Highland Park. Wie pan, większy prestiż... Lecz prawda jest taka, że oboje pochodzą stąd, z Willoughby. Byli biedni jak myszy kościelne, dopóki ojciec Aleny nie dorobił się na „dzikich kotach”...

- Na dzikich kotach?

Stephan wyobraził sobie Taggarta walczącego z jakimś dzikim zwierzęciem. Kiedyś słyszał, że w Ameryce urządza się zapasy z aligatorem. Tu wszystko jest możliwe.

- Tak nazywamy szyby naftowe. Zbił fortunę na nafcie, a potem zainwestował ją w komputery. To był dopiero biznes. Gdy Alena miała trzynaście lat, przeprowadzili się do Dallas i od tamtej pory starają się uchodzić za lepszą klasę. Gdyby wiedzieli, że Lawrence był księciem, zupełnie by im odbiło. Obnosiliby się z tym przed światem, no i zrobiliby wszystko, by Alena została jego żoną. Jestem też pewna, że po śmierci Aleny zaopiekowałiby się wnukiem lub oddaliby go wam. Jednak, zarówno Lawrence, jak i Alena, woleli tego dziecku oszczędzić.

Stephan przypomniał sobie, jak odpychająca i szorstka w obejściu była pani Taggart, a jej mąż sprawiał wrażenie zimnego i wyrachowanego mężczyzny. Niestety, Mandy miała sporo racji.

- Skoro nie wiedzieli, kim był Lawrence, z radością pozbyli się chłopca - ciągnęła Mandy. - Podpisali dokumenty adopcji, które dają mi pełne prawa rodzicielskie. Wszystko odbyło się zgodnie z prawem.

- No tak, ale Lawrence niczego nie podpisywał. - Stephan zacisnął zęby.

- Nie. Nawet na akcie urodzenia nie było jego nazwiska. Oboje postanowili, że tak będzie lepiej. Nie chcieli dopuścić, by ktokolwiek odkrył, że mały jest synem księcia. Pragnęli, aby Josh miał życie bardziej szczęśliwe niż jego ojciec.

Stephan poczuł, że nagle zaschło mu w gardle. Sięgnął po stojącą przed nim szklankę i pociągnął z niej solidny łyk. Nie smakowało to jak herbata, ale było mokre i zimne.

- Lawrence jako następca tronu żył w luksusie. - Zbity z tropu próbował odeprzeć argumenty Mandy. - Niczego mu nie brakowało.

Delikatny podbródek dziewczyny zadrgał, a na jej pełnych ustach pojawił się grymas niechęci.

- Nie brakowało mu niczego oprócz miłości, którą odkrył dopiero, kiedy poznał Alenę. Chciał, by jego dziecko wiedziało, co to jest miłość! - wykrzyknęła - Moja rodzina nie musi mieć kupy pieniędzy. Joshua nie będzie jeździł do szkoły limuzyną, nie będzie miał prywatnych nauczycieli, lecz dostanie coś, czego zawsze brakowało jego rodzicom... dużo miłości.

Przez chwilę Stephan, obserwuje dziewczynę, stracił wątek rozmowy. Mówiła z taką pasją, że nie mógł oderwać od niej oczu. Jej emocje były zupełnie poza kontrolą, wybuchała w zależności od tego, o czym mówiła. choć, smutek, wzburzenie - każde jej uczucie było widoczne jak na dłoni. A Stephanowi od dzieciństwa wpajano, że uczucia należy ukrywać.

Wstał z krzesła i pociągnął jeszcze jeden łyk zimnej, słodkiej herbaty.

- Jeśli Joshua rzeczywiście jest synem Lawrence' a... Mandy zerwała się z krzesła. Stephan poczuł, że mimo odległości, jej oczy palą go jakimś zielonym ogniem.

- Jeśli jest jego synem? - zapytała wzburzona. - Ma pan jeszcze jakieś wątpliwości?

Zafascynowany jej pasją, nie mógł wykrztusić słowa.

Vera Crawford wstała, podesta do wnuczki i objąwszy ją ramieniem, szepnęła jej coś tak cichutko, że Stephan nie mógł słyszeć.

Mandy niechętnie skinęła głową i usiadła z powrotem na krzesło. Spojrzała na gościa wyzywająco.

- Jeśli ma pan wątpliwości, że Joshua jest synem Lawrence'a, to może niech pan lepiej zwija...

- Mandy! - Starsza kobieta przerwała jej ostrzegawczym tonem.

- Wybacz, babciu, Wyrwało mi się.

Jednak Stephan wie, że wcale jej się nie wyrwało. Powiedziała tak tylko; by udobruchać swoją babcię, podczas gdy cały czas obrzuci go nienawistnym spojrzeniem.

- Myślę, że będzie najlepiej, jeśli odleci pan najbliższym samolotem do swojego wielkiego, zimnego pałacu i zostawi nas w spokoju.

Jej sugestia była wypowiedziana w tonie naśladowującym jego własny sposób mówienia i Stephan, zamiast urazy, poczuł rozbawienie.

- Zwykły test kodu DNA rozwiąże nasz problem - powiedział, wracając do tematu.

- Ach, to tak! - Mandy uderzyła dłońmi w stół. - Wdać, że wygląd często zwodzi. Nie zgadłabym wcześniej, że jest pan zwykłym draniem!

- Mandy...

Vera Crawford znów ją przywołała do porządku, lecz tym razem jakby mniej surowym tonem. Tak naprawdę chyba nie miała wnuczce za złe jej zachowania.

- Zwykłym draniem? - powtórzył zbity z tropu Stephan.

- A co, myślał pan, że zgodzę się na ten test? Wtedy wywiózłby pan mojego syna na Kastylię, gdzieś na środek Atlantyku, gdzie ludzie są bardziej zimni niż chłodny klimat tej wyspy.

- Jeśli Joshua jest synem Lawrence'a... a wierzę, że jest, bo inaczej by mnie tu nie było - dodał pospiesznie - to jest księciem, potomkiem starej królewskiej rodziny. Ma prawo poznać swój kraj i jego zwyczaje. W przyszłości, gdy mój ojciec nie zdoła już rządzić,

Joshua zostanie królem.

- Dobrze pan wie, że właśnie przez te królewskie obowiązki Lawrence musiał wyrzec się wszystkiego, na czym mu w życiu zależało. Nie wydaje mi się uczciwe, aby zmuszać jego syna do podobnych wyrzeczeń.

Stephan na jej prostoduszność zareagował lekkim, cynicznym uśmieszkiem.

- Uczciwe czy nie.. .tak już musi być. Reguluje to dekret z 1814 roku...

- Wiem, wiem, jakiś tam król... chyba nazywał się Orwell i ten jego głupi dekret. - Mandy machnęła niecierpliwie ręką. - Mało mnie on obchodzi. Facet nie żyje prawie dwieście lat.

- Cóż to za dekret, panie Reynard? - zapytała Rita.

- Król Ormond - poprawił Stephan. - Wydał on dekret o nieślubnym następcy tronu. We wczesnych latach dziewiętnastego wieku król spłodził siedem córek i syna, który niestety umarł jako dziecko. Król ze swoją kochanką miał jeszcze drugiego syna, nieślubnego, który po śmierci ojca chciał odziedziczyć tron. Dzięki swojej błyskotliwości i wielu pomysłom na rządzenie krajem, Stafford, ów nieślubny syn, zdobył popularność na dworze i wśród ludu... - Stephan urwał i milczał przez chwilę. - Gdyby Lawrence miał syna z lady Barbarą, Joshua mógłby zostać pominięty. Lecz nie miał. Więc po moim ojcu tron obejmie Joshua. Oczywiście, może się go zrzec, lecz musimy mu dać prawo wyboru.

Mandy uniosła szklanę i upiła łyk herbaty. Zamknęła oczy. Długie rzęsy rzucały cień na jej porcelanową cerę. Delikatnie postawiła szklanę na stole, obróciła ją kilka razy, rysując palcem wzorki na skroplonej parze. Zdawała się być bez reszty pochłonięta tą czynnością.

W końcu podniosła wzrok na gościa. W jej spojrzeniu nie było już radości, lecz smutek.

- Lawrence z wielkim bólem serca opuszczał dziecko. Rozplakał się, podając mi Josha... - Przerwała, chcąc, by jej słowa dotarły do wszystkich.

Stephan jednak nie był zbyt wstrząśnięty tym wyznaniem, ponieważ pamiętał, jak wielkie wrażenie zrobił na nim Lawrence

parę miesięcy po powrocie z Ameryki, kiedy to Stephan przypadkiem ujrzał brata z twarzą zalaną łzami. Teraz już znał powód tamtych łez.

- Pański brat miał serce - ciągnęła Mandy. - Rozpaczał, gdy umarła Alena. Płakał, gdy musiał oddać syna. Joshua ma jego serce i duszę swojej matki. Jest wrażliwym i czułym dzieckiem, który wyrośnie na wrażliwego i czulego mężczyznę.

- Jest księciem. W jego żyłach płynie królewska krew. Należy do swojego kraju.

- Zawsze mnie trochę bolało, że prawdziwa rodzina Josha nigdy się o nim nie dowie - rzekła Mandy, nie zważając na słowa Stephana.

- Mój brat i jego żona w grudniu spodziewają się dziecka. Nie mogę się już doczekać, kiedy je ujrzę. Jestem pewnie tak samo podekscytowana jak oni. Gdyby mi ktoś powiedział, że nigdy nie wezmę ich dziecka na ręce, że nie zobaczę, jak dorasta, czułabym się bardzo nieszczęśliwa. Gdy tu weszłam i ujrzałam pana, przeraziłam się, że może mi pan zabrać Josha. Bałam się, że pan go ucałuje, przytuli i od pierwszej chwili pokocha, mówiąc mi, że nie mam żadnego prawa do pańskiego bratanek. Lawrence bardzo dobrze o panu mówił. Tak się bałam...

- Więc zgadza się pani, że chłopiec powinien wrócić do swojej prawdziwej rodziny? - zapytał Stephan, choć dobrze wiedział, co ona o tym myśli,

- Pan jednak nie zrobił ani jednej z tych rzeczy, których się spodziewałam i obawiałam! - wybuchła Mandy, marszczy brwi. - Joshua zupełnie nie zainteresował pana jako urocze dziecko i jako pański bratanek. Obchodzą pana jedynie jakieś głupie państwowe interesy. Jest pan dokładnie taki, jak wszyscy w waszej rodzinie, o której Lawrence mówił z taką goryczą. Dlatego właśnie nie chciał, by jego syn powrócił na wyspę i, tak jak on, był samotny i nieszczęśliwy.

Mandy wstała, głośno odpychając krzesło. Patrząc, mu prosto w oczy, pochyliła się nad stołem. Przez jedną, krótką chwilkę Stephan miał wrażenie, że dziewczyna chce go pocałować. Lecz ona złapała go tylko za krawat i przyciągnęła bliżej do siebie. Jej twarz była zaledwie kilka centymetrów od jego twarzy, na jej nosie mógł nawet

dostrzec złote piegi, czuł podmuch jej ciepłego i słodkiego oddechu. Lecz najbardziej palił go ogień widoczny w jej oczach.

- Proszę wrócić do swojego kraju i samemu objąć tron, a potem płodzić synów, którzy będą bez serca i bez uczuć, tak jak pan. Razem przestrzegajcie tych swoich tradycji i dekretów, a od mojego Josha trzymajcie ręce z daleka, bo pokażę wam, co znaczy teksaski dziki kot i tym razem wcale nie mówię o nafcie.

Puściła jego krawat, odwróciła się na pięcie i trzaskając drzwiami, wyszła z kuchni.

- Życzy pan sobie jeszcze herbaty? - zapytała Rita. Stephan zamrugał oczami i ledwie powstrzymał wybuch śmiechu. Właśnie został solidnie zbesztany i prawie przegnany z ich domu, a matka Mandy, jakby nigdy nic, wciąż trzymała się towarzyskich zasad uprzejmości. Może Teksas i Kastylija wcale tak się nie różniły?

- Nie, dziękuję. - Wstał z krzesła. - Lepiej już pójdę. Zdaję sobie sprawę, że moja wizyta mogła być dla państwa szokiem. Oto numer telefonu do mojego hotelu w Dallas. Proszę zadzwonić, gdy już sobie państwo wszystko przemyśla.

- Na pewno zadzwonimy - skinęła głową Vera Crawford. Stephan chciał dodać, że jeśli nie zadzwonią w ciągu trzech dni, to odwiedzi ich ponownie. Odrzucił jednak ten pomysł. Crawfordowie to ludzie honoru. Z całą pewnością zadzwonią.

Nie spodziewał się, że polubi tę rodzinę. Jednak, mimo tylu ostrych słów, poczuł do nich sympatię.

Mandy myliła się, sugerując, że Stephan nic nie czuje. Podczas tego krótkiego czasu, gdy rozmawiali, wyzwoliła w nim całą lawinę uczuć - szacunek, rozbawienie, zachwyt, a przede wszystkim... pożądanie. Stand się przed tym bronić, lecz nie potrafił w sobie ujarzmić tej odwiecznej tęsknoty, jaką czuje mężczyzna, gdy pragnie kobiety. Nie potrafił patrzeć obojętnie na te płonące zielonym blaskiem oczy, ogniste włosy i porcelanową cerę, pokrytą deszczykiem drobnych piegów.

Zegnają się z Crawfordami, miał dziwne uczucie, że zanim wyjedzie z tego kraju, jego wrodzona powściągliwość zostanie wystawiona na wielką próbę.

ROZDZIAŁ DRUGI

Mandy stała oparta o ścianę domu i patrzyła na odjeżdżający samochód Stephana. Czuła jednocześnie strach i złość. Jak to możliwe, by w niespełna godzinę całe jej dotychczasowe życie stało pod znakiem zapytania?

Nie powinna być tym jednak zdziwiona. Kilka ostatnich lat przyniosło jej przecież same przemiany - rozstanie z rodzinnym miasteczkiem, Willoughby, studia w oddalonym o osiemdziesiąt kilometrów Dallas, odnowienie przyjaźni z Alena, potem śmierć dziadka, a wkrótce również Aleny, i w końcu powrót w rodzinne strony. Wróciła do rodziny, którą kiedyś tak bardzo chciała opuścić. Przez pewien czas czuła, że odzyskuje równowagę życiową. Z dyplomem wyższych studiów mogłaby robić karierę w zarządzaniu, jednak wybrała pracę w miejscowej podstawówce, ucząc najmłodsze dzieci. Rodzicami niektórych uczniów Mandy byli jej dawni koledzy ze szkolnej ławy.

Od kiedy była znowu w domu, czuła się tak, jakby wróciła do czasów dzieciństwa - zewsząd otoczona miłością, a wszystko było takie bezpieczne i niezmiennie. Tylko że teraz brakowało jej dziadka i Aleny...

Powrót do domu był dla niej szansą na ustabilizowane życie i nie zamierzała jej zaprzepaścić. Odpowiadało jej takie spokojne życie i nikomu nie pozwoli go zniszczyć.

Zaledwie kilka godzin temu wyszła do swojej porannej pracy w bibliotecę, którą tak lubiła, że nawet nie brała za nią pieniędzy. Spodziewała się, że po powrocie do domu zostanie wszystko w jak najlepszym porządku. Myślała, że jak zwykle wbiegnie do domu, który od dziecka był dla niej ostoją bezpieczeństwa, wejdzie do kuchni, gdzie jeszcze rano jadła śniadanie z najbardziej kochanymi ludźmi... Lecz w ich kuchni, przy ich stole, siedział obcy mężczyzna, Stephan Reynard, książę Kastylii.

Miała niejasne przeczucie, że jej życie już nie będzie takie samo, że coś się nieuchronnie zmieniło. Nawet gdyby bardzo starała się zachować dotychczas istniejący stan rzeczy, wszystko będzie na próżno.

Najgorsze w tym wszystkim wcale nie było to, że Stephan chciał

zabrać Josha. To wydawało się jej prawie niemożliwe. Gorsze zaś było to, że czuła szalony i niewytłumaczalny pociąg do mężczyzny, który chciał jej odebrać dziecko. Na domiar złego był on bratem Lawrence'a, który poniekąd przyczynił się do śmierci jej przyjaciółki.

Reynard pochodził z dalekiego kraju. Nie z jakiegoś innego miasta, godzinę drogi stąd, lecz z zupełnie obcego kraju, odległego tysiące kilometrów. No i był wrogiem. Myślał, że jego państwo może rościć sobie prawo do jej dziecka, że może zabrać jej Josha i zburzyć życie, które tak mozolnie budowała.

A jednak Mandy czuła do tego człowieka... pożądanie. Było w nim coś niesamowitego, widziała ogień w jego oczach, coś drapieżnego w jego ruchach: Jakaś prymitywna część jego natury, głęboko ukryta pod maską cywilizacji i konserwatywnego ubioru, wyzwoliła w niej emocje, jakich do tej pory jeszcze nigdy nie zaznała.

Kiedy Stephan tak niespodziewanie oznajmił, że jego brat nie żyje, Mandy poczuła przerażenie nie tylko dlatego, że lubiła Lawrence'a i była zaszokowana wiadomością. Bała się, że teraz będą podstawy prawne, by Stephan mógł zabrać jej dziecko. Pokój zawirował jej przed oczyma. Gość musiał dostrzec, co się z nią działo i rzucił się, by ją podtrzymać. Przez jedną szaloną chwilę Mandy chciała przytulić się do jego szerokiej piersi. Na szczęście w porę odzyskała poczucie rzeczywistości i miała nadzieję, że nie odgadł jej absurdalnych pragnień.

Kiedy chwyciła go za ten śmieszny krawat, chcąc rzucić mu prosto w twarz swoją groźbę, przez moment wahała się, czy go udusić, czy też może pocałować. Jeszcze teraz czuła iskrzenie, które nagle pojawiło się między nimi. Wciąż nie mogła zapomnieć jego ledwie uchwytnego zapachu, który wydawał się jej jednocześnie obcy i znajomy.

Mandy wzięła głęboki oddech, w nadziei, że woń drzew, kurzu i kapryfolium zagłuszy w niej wspomnienie zagadkowego i ponętnego zapachu Stephana. Zerwała liść krzewu i zmięta go w palcach. Pomyślała, że najwidoczniej nagle obudziły się jej hormony, skupiając jej uwagę na pierwszym przystojnym facecie, który się

nawinał. Na pewno przypisywała mu cechy, których nigdy nie posiadał. Stephan Reynard był jedynie nadętym, samolubnym i aroganckim księciem, chcącym za wszelką cenę odebrać jej syna.

Wyprostowana, z wysoko uniesioną głową, poszła na tył domu, gdzie Stacy, Josh i Księżę bawili się w jedną z ulubionych zabaw Joshua. Stacy rzucała kość, a Josh szedł z psem w zawody, by ją pierwszy dopaść i przynieść cioci.

- Stacy, pobawisz się jeszcze trochę z Joshem? - zapytała Mandy. - Muszę porozmawiać z mamą i Naną.

Dziewczyna rzuciła kość, a gdy chłopiec i pies pobiegli, by ją przynieść, spojrzała na Mandy.

- Co będzie z Joshem? - spytała z niepokojem wypisanym na jej dziewczęcej twarzy.

- Nic. Wymyślimy coś i wszystko będzie dobrze - zapewniła Mandy siostrę, choć nie miała zielonego pojęcia, cóż takiego mogliby wymyślić.

Rozradowany Josh, kurczowo trzymając plastikową kość, podbiegł do Stacy i radośnie coś szczebiał.

- Zuch z ciebie! - pochwaliła dziewczyna. - Widzisz? Łatwiej nieść kość w rękę niż w buzi.

Mandy chwyciła chłopca na ręce i przytuliła go do siebie. Josh zarzucił jej na szyję swoje pulchne rączki, cmoknął głośno w policzek i pokazał, że już czas, by wrócić do zabawy. Po chwili, kiedy tylko jego bose nóżki dotknęły trawy, popędził za psem.

- Nie wie nawet, jak bardzo jest kochany - rzekła Mandy. - Zawsze był otoczony miłością. Tak właśnie powinno być i... to się nie zmietli.

- Pamiętaj, że zawsze jestem z tobą - oświadczyła Stacy. Zamyślona Mandy weszła do kuchni, gdzie przy stole czekały na nią matka i babcia.

- No, to mamy kłopot - zaczęła Mandy.

- Kłopot to mało powiedziane. - Babcia uśmiechnęła się smutno.

- Gdy powiedziałś nam o adopcji, nie wspomniałaś nic o tym dekrecie... o nieślubnym następcy tronu.

- Wtedy ten dekret wydawał mi się bez znaczenia - westchnęła Mandy. - Myślałam, że Lawrence ożeni się z kobietą wybraną przez

jego rodziców i będzie miał dzieci. Podobno mężczyzna odpowiada za płeć dziecka, więc było duże prawdopodobieństwo, że będzie miał więcej synów. Przez myśl mi nie przeszło, że Taggartowie mogliby kiedykolwiek odkryć, kim naprawdę był Lawrence. Przecież nie mieli szans, by znaleźć się na liście gości zaproszonych na jakiś królewski bal, na którym mogliby w księciu Kastylii rozpoznać Lawrence'a, ojca ich wnuka.

Nagle trzasnęły frontowe drzwi.

- Cześć, kochanie! Już jestem!

- Czekamy w kuchni, Dan! - zawoła Rita Crawford. Mandy musiała powstrzymać się, by nie podbiec do ojca i nie rzucić się w jego szerokie ramiona, tak jak robiła to, gdy była małą dziewczynką. Wtedy ojciec jednym pocałunkiem sprawiał, że świat wydawał się lepszy.

- Pewnie zaraz pożałujesz, że nie zostałeś w sklepie - powiedziała matka Mandy.

Dan Crawford pojawił się w drzwiach. Był to wysoki, pogodny mężczyzna o kasztanowych włosach, gdzieniegdzie przyprószonych siwizną. Kiedy spostrzegł posępne miny kobiet, jego uśmiech jakby stopniał i trochę zmarszczył brwi.

- Co się stało? - zapytał. - Coś nie tak z Lindą i jej dzieckiem?

- Nie, z Lindą wszystko w porządku - zapewniła Rita.

- Usiądź, proszę. Musimy zrobić rodzinną naradę.

Dan usiadł za stołem i w skupieniu wysłuchał całej opowieści Mandy.

- Musimy zacząć działać - podsumowała dziewczyna.

- Ten problem na pewno sam się nie rozwiąże.

Ojciec oparł się ciężko o krzesło i głęboko westchnął.

- A co teraz planuje Stephan Reynard?

- Nie powiedział - odparła Rita. - Zatrzymał się w hotelu w Dallas i czeka na telefon. Mamy do niego zadzwonić, gdy już wszystko przemyślimy.

- Tu nie ma nad czym myśleć - buntowniczo oznajmiła Mandy. - Joshua to teraz mój syn. Jego rodzice chcieli, by nadal takie życie jak moje, a nie takie, jakie mieli oni.

- Stephan Reynard jest wujkiem Josha. - Głos ojca brzmiał

spokojnie, lecz stanowcza - Prawo, być może, jest po naszej stronie, ale nie sądzisz, że należy mu się jakiś kontakt z jego, bądź co bądź, bratankiem? A Joshua też ma prawo dowiedzieć się, kim byli jego rodzice...

- Stephan Reynard nie chce żadnego kontaktu z bratankiem - przerwała ojcu Mandy. - Chce go zabrać i zmienić w kopię samego siebie. A my nie możemy mu na to pozwolić. Josh w roli następcy tronu byłby tak samo nieszczęśliwy jak jego ojciec.

Mandy wstała, nie mogąc usiedzieć spokojnie na miejscu, nerwowo przeszła przez kuchnię, obróciła się i oparła o komodę.

- Gdy byłam małą, zazdrościłam Alenie. Miała tyle zabawek, tyle modnych ciuchów i kilka pokoi tylko do swojej dyspozycji. Lecz zawsze chciała przychodzić do nas. Nigdy tego nie rozumiałam. Potem wyjechałam na studia do Dallas i tam znowu się do siebie zbliżyłyśmy. Wtedy powiedziała mi, że zawsze czuła się samotna i zazdrościła mojej rodzinie.

Skrzyżowała ręce na piersi i lekko się zaśmiała.

- Wtedy po raz pierwszy mieszkałam poza domem. Cieszyłam się na myśl, że wreszcie będę miała centralne ogrzewanie i swoją łazienkę, myślałam, że życie na własną rękę będzie takie cudowne. Cóż, [wcale](#) nie było. Nigdy nie mówiłam, jak bardzo usychałam z tęsknoty za wami. Gdyby nie Alena, nie wytrzymałabym tam nawet pierwszego semestru. Gdy umiał dziadek, dotarło do mnie, jak bardzo was potrzebuję. Potem zmarła Alena i Lawrence powierzył mi to biedne dziecko. Wiedziałam, że nie nadaję się do robienia dużych pieniędzy i otaczania się luksusem. Alena to wszystko miała i nie zdało jej się to na nic. Wołałam wrócić do was i tu żyć. Chciałam, by Josh nigdy nie dowiedział się, co to samotność, by miał to, co ja dostawałam od was. I ma. Nie obchodzą mnie ani jego przodkowie, ani dziedzictwo. U nas ma zapewnioną miłość, a to najlepszy majątek.

- Masz rację, kochanie - odezwała się babcia. - Najważniejsza jest miłość. Jednak, czy rzeczywiście chcesz pozbawić Josha świadomości, kim byli jego przodkowie? Przecież sama ciągle powtarzasz, jak bardzo łączy nas ten dom, zbudowany przez naszych pradziadów. Czy Josh nie ma prawa chociaż wiedzieć o swoich?

Babcia miała rację. Mandy westchnęła z rezygnacją. Nawet gdyby udało jej się pokonać całą armię Kastylii, nie uda się jej utrzymać Stephana z dala od bratanka.

- Jutro zadzwonię do Stephana Reynarda. - Mandy dała za wygraną.

- Powinnaś zaprosić go do nas na kilka dni - powiedziała matka.

Na samą myśl, że Stephan mógłby spać pod ich dachem, Mandy poczuła, jak krew napływa jej do twarzy.

- Nie zgadzam się!

- Posprzątam i wywietrzę pokój gościnny na drugim piętrze. - Rita Crawford zignorowała sprzeciw córki. - Jestem pewna, że u nas będzie mu lepiej niż w hotelu.

- A ja jestem pewna, że Stephan Reynard, książę Kastylii czuje się wyśmienicie w swoim luksusowym hotelu, gdzie służba podaje mu śniadanie do łóżka, pierze ubrania i sprząta apartament - przekonywała Mandy. - Nigdy nie zamieni tego na jakiś mamy pokój w starym domu, gdzie nie ma ani windy, ani klimatyzacji. I tu nikt mu nie poda czekoladek na dobranoc...

- Mandy - wtrąciła się babcia. - Twoja matka ma rację. Gdy pan Reynard zobaczy, jak bardzo Joshua jest tu szczęśliwy i jak bardzo go kochamy, na pewno zrozumie, że nie może go nam zabrać.

- Tak, zaprosimy go. To będzie ładnie z naszej strony - dorzucił ojciec swoim mocnym głosem. - Więc jesteś przegłosowana, córeczko.

No tak, duża rodzina ma też swoje złe strony, pomyślała Mandy. Jestem przegłosowana.

- W porządku. Zaproszę go, bo to ładnie z naszej strony i dlatego, że wszyscy nalegacie. Jednak wątpię, by z tego skorzysta.

Może Stephan odrzuci ich zaproszenie, a potem będzie się czuł taki zakłopotany, że zostawi ich w spokoju? Nadzieja na to była raczej płonna, lecz Mandy nie potrafiła wymyślić niczego bardziej sensownego, aby się chociaż chwilowo pocieszyć. A jeśli u nich zamieszka?

Stephan miał bezsenność. To na pewno przez tę podróż samolotem i zmianę czasu - sześć godzin do tyłu. Tylko zmęczeniu mógł zawdzięczać swoje natrętne myśli o rodzinie Crawfordów, a w

szczególności te dziwne mrzonki o Mandy.

Wstał wcześniej, zrywając się jak zwykle też przed świtem, jakby energia wschodzącego słońca nie pozwalała mu na sen i wzywała go do działania. Wziął prysznic, ubrał się i zamówił śniadanie, a potem ze swojego okna podziwiał widok miasta - strzeliste sylwetki wieżowców na tle nieba.

Dallas było dużym, nowoczesnym i szybko rozwijającym się miastem. Zupełne przeciwieństwo miast na Kastylii. Pamiętał, jak Lawrence wrócił ze swojej pierwszej podróży do Ameryki z głową pełną różnych pomysłów. Pragnął wprowadzić swój kraj w dwudziesty pierwszy wiek, wzorując się na Ameryce. Choć duże wrażenie zrobił na nim Nowy Jork, zdecydowane wołał Dallas. Jednak od czasu gdy Stephan dowiedział się o Alenie i dziecku, już nie był pewien, czy powinien poważnie traktować relacje brata. Wiadomo, zakochani widzą inaczej.

Jego własna edukacja i podróże ograniczały się głównie do stolic europejskich i, mimo entuzjastycznych opowieści Lawrence'a, spodziewał się, że Dallas okaże się niecywilizowanym miastem, zamoczonym przez kowbojów i wielkie stada bydła. Musiał jednak przyznać, że został mile zaskoczony. Na każdym kroku wyczuwał żywotność i energię tego miasta, a jego mieszkańcy, w tym również Crawfordowie, okazali się uprzejmi i całkiem przyjaźni.

Z pewnością nie spodziewał się, że polubi tę rodzinę. Taggartowie określili ich status społeczny jako bardzo niski, a nawet mówili o Crawfordach, że to nędzarze, mieszkający w starym, rozpadającym się domu. Choć nie był pewien, ile było w tym prawdy, z pewnością oczekiwał jednego - że syn Lawrence'a żyje w bardzo ubogiej rodzinie, niemal na skraju ubóstwa.

Miał zamiar dumnie wkroczyć, zażądać wykonania testu DNA i jak najszybciej zabrać chłopca do kraju. Jak zapewniali go Taggartowie, ci biedni ludzie z ulgą oddadzą małego księcia w jego ręce - oczywiście w zamian za odpowiednią wpłatę na ich konto. Stephan nie był więc przygotowany na to, że ujrzy nieskazitelnie czysty, stary dom, w którym mieszka całkiem kulturalna rodzina Crawfordów. A co więcej, na pewno nie spodziewał się, że syn jego brata jest przez nich wprost uwielbiany.

Nie spodziewaj się także kogoś takiego jak Mandy Crawford...

Jego misja, choć początkowo wyglądała na śmiesznie prostą, nieoczekiwanie się skomplikowała.

Odwrócił się od okna, skrzyżował ręce na piersi i wziął głęboki oddech. Jeśli miał być szczerzy, to musiał przyznać, że to nie zmiana czasu i nie zmęczenie spędzały mu sen z powiek tej nocy. To ta dziwna sytuacja, w jakiej nagle się znalazł. A dokładniej - to pewna wysoka, smukła kobieta, z burzą ognistych włosów; urzekającą zielenią oczu, mająca w sobie jakąś dziwną pasję, która udziela się innym. To kobieta, którą przez moment dotknął gdy wydawało mu się, że bez jego pomocy upadnie. Po chwili miał jej twarz tuż przed sobą, gdy ostrzegła go, by zostawił jej syna w spokoju. I w końcu, to kobieta, która podziałała na jego zmysły żywiej niż wszystkie inne, z którymi przez lata zdarzało mu się obcować bardziej lub mniej intymnie...

Zadzwonił telefon. Stephan był pewien, że to dzwoni Mandy, jakby jego myśli mogły ją w jakiś sposób przywołać. A może to ona, wybierając numer, myślała tak intensywnie o nim, że jej myśli dotarły do niego?

Chwycił słuchawkę po pierwszym sygnale, lecz poirytowany swoją niecierpliwością, rzucił jedynie sztywne „halo”.

- Pan Stephan Reynard? - zapytała Mandy chłodnym tonem, lecz jej miękki głos przypominał Stephanowi szum wiatru i delikatny szelest liści na drzewach rosnących koło jej domu.

- Przy telefonie - odpowiedział, ignorując swoje dziwaczne skojarzenia.

- Tu mówi Mandy Crawford.

- Tak, wiem.

- Musimy porozmawiać.

- Z pewnością.

- Kiedy moglibyśmy się spotkać?

- Zawsze jestem do pani dyspozycji.

- Dobrze. Umieszczę pana w grafiku.

Ton Mandy wydał mu się nad wyraz oficjalny i nagle poczuł się z tego powodu bardzo rozbawiony. Teksańskie kobiety były zdecydowanie inne niż wszystkie te, które dotychczas poznał.

- Będzie mi bardzo przyjemnie znaleźć się w pani grafiku - powiedział. - Która godzina pani odpowiada?

- Może spotkamy się o drugiej w holu pańskiego hotelu?

To mu pasowało, będzie się czuł pewniej na swoim grancie. Poza tym, wczorajszy upał tak dał mu się we znaki, że wolał spotkanie w klimatyzowanym hotelu. Jednak gdzieś głęboko w sercu poczuł lekki zawód, a nawet tęsknotę za dusznym domem Crawfordów.

- W porządku, o drugiej - potwierdził. - Jest tu całkiem niezła restauracja. Może pani zje ze mną lunch?

- Jem lunch z rodziną po powrocie z kościoła.

Stephan wzdygnął się. Ta uwaga przypomniała mu, że nie należy do jej rodziny i nie ma do niej żadnych praw... nawet do dziecka brata. Wyobrazził sobie, jak to mówiła, z uniesioną głową i ogniem w oczach. Spodziewał się, że jej buntowniczość wywoła w nim irytację lub w najlepszym wypadku śmiech. A jednak nie. Mandy wydała mu się ujmująca i godna podziwu.

- Do zobaczenia o drugiej - powiedział.

Niechętnie odłożył słuchawkę, zdziwiony, że już nie może się doczekać, kiedy zobaczy Mandy. Oczywiście chodzi tylko o to, by jak najszybciej omówić z nią sprawy... przecież nie ma mowy o czymś więcej. Ma się rozumieć, że jego osobiste zaangażowanie nie wchodzi w grę. To rodziłoby jedynie kłopoty. Stephan zawsze to wiedział, a historia życia Lawrence'a potwierdzała jego przekonanie.

Nie mógł uniknąć spotkania z Mandy, ale potrafił ujarzmić swoją niecierpliwość. Potrafił dobrze trzymać emocje na wodzy.

Mandy czekała w eleganckim holu hotelu, nerwowo postukując stopą o marmurową posadzkę. Droga godzina i ani śladu księcia. Na razie nie warto wyciągać pochopnych wniosków. Może jego zegarek się spóźniał? Albo też punktualność nie była na Kastylii w modzie? Jednak jeśli nie przyjdzie za pięć minut, to nici ze spotkania.

- Pani Crawford. Miło panią widzieć.

Jego głęboki, spokojny głos wyrwał ją z namyslenia. W jednej chwili cała złość Mandy stopniała na widok niebieskich oczu i szerokiego uśmiechu.

- Spóźnił się pan - powiedziała z lekkim wyrzutem, by nie

zauważył jej zmieszania. W końcu to on był powodem jej kłopotów.

Stephan spojrział na swój złoty zegarek i uniósł brwi.

- Tylko minutkę - uśmiechnął się.

- Hm, w porządku. - Mandy poprawiła zawieszoną na ramieniu torebkę.

- Może wypijemy razem herbatę? - zapytał. - Jest tu całkiem znośna restauracja.

- Tak, chętnie. To... miłe z pana strony.

Jedną ręką wskazał jej drogę, a drugą niemal dotknął jej talii. Mandy szybko oddychała. Przez swoją bawełnianą sukienkę czuła ciepło jego dłoni i ledwie mogła się powstrzymać, by nie oprzeć się o jego ramię.

Cóż za śmieszne pomysły? Czy znowu hormony uderzają jej do głowy? Znowu pobudzają jej wyobraźnię?

Przyspieszyła kroku. Minęła gigantyczne kolumny i weszła do restauracji, w której sam Juliusz Cezar, wraz ze swoją świtą, czułby się jak w domu. Po jednej stronie lokalu zobaczyła wielką szklaną ścianę, za którą widniał uroczy staw porośnięty bujną roślinnością.

„Całkiem znośna restauracja”, to było mało powiedziane.

Mandy poczuła w piersi silne ukłucie niepokoju, gdy nagle zdała sobie sprawę, że w tym miejscu to on jest panem sytuacji. Bez żadnego widocznego wysiłku człowiek ten zawładnął bez reszty jej myślami, jej wyobraźnią. Był przecież księciem, urodzonym, by rządzić. Miał pieniądze i władzę. Żył w przepychu i w tym luksusowym hotelu czuł się jak w domu. Był dla niej niebezpieczny...

Usiadła wygodnie w miękkim fotelu, podsunętym jej przez kelnera, i w myślach ostro się zbeształa. Musi mieć się na baczności, nie może stracić głowy przez jakieś pieprzone mrzonki o tym mężczyźnie. Stephan Reynard może sobie mieć pieniądze i władzę, lecz ona ma więcej - rodzinę i miłość.

Zamówiła szklanekę mrożonej herbaty, lecz po chwili się rozmyśliła i, podobnie jak on, poprosiła o filiżankę gorącej.

- Gorąca herbata chyba lepiej mi zrobi - powiedziała po odejściu kelnera. - Chłodno tu jakoś...

Dotknęła swoich ramion pokrytych gęsią skórą. Letnia

sukienka bez rękawów, choć była idealna na niedzielny spacer do kościoła, nie nadawała się na spotkanie w klimatyzowanym, chłodnym hotelu.

Stephan, oczywiście, miał na sobie ciemny garnitur, białą koszulę i krawat. Tak jak wczoraj. A może i przedwczoraj. Być może nawet spał w tym stroju... No nie... Otrząsnąwszy się ze swoich wyobrażeń, złożyła dłonie na białym obrusie, wzięła głęboki oddech i powiedziała zaczepnym tonem:

- Porozmawiajmy, panie Reynard... A może należy zwracać się do pana Wasza Wysokość lub po prostu... książe?

- Zachichotała, gdyż przypomniał się jej pies. Książe, do nogi! Siad! Dobry piesek.

- Książe? To mi schlebia, ale już tak pani woła na psa - roześmiał się. - Nalegam, by mówiła mi pani po imieniu, Stephan. W pani kraju nie trzeba przestrzegać form dworskiej etykiety, tak jak w moim.

- Ach, więc rozmawiamy według form i zasad obowiązujących w moim kraju?

- To zrozumiałe, zważywszy, że jesteśmy w pani kraju.

- Więc dobrze. Mój kraj ma ustrój demokratyczny i nie uznaje żadnych przywilejów dla arystokracji. Josh urodził się tutaj, a jego matką była Amerykanka. Znaczy to, że i on jest obywatelem Stanów Zjednoczonych. Według naszych praw, w żadnym wypadku nie może być księciem. I koniec całej sprawy.

Stephan znów się zaśmiał i lekko skłonił głowę.

- Zgoda! Z punktu widzenia waszego prawa ma pani rację. Jednak Josh jest także synem Lawrence'a, a więc z punktu widzenia naszego prawa jest z całą pewnością przyszłym następcą tronu.

- No i co z tego?! - wybuchła Mandy. - Jak pan to sobie wyobraża? Że tak po prostu oddam mojego syna... Bo, przypominam panu, że według naszych praw jest on moim legalnie adoptowanym synem! Sądzi pan, że pozwolę wywieźć go tysiące kilometrów stąd i zmarnować mu życie? Dobrze pan wie, że tam spotka chłopca to wszystko, co spotkało jego ojca.

- Gdy polecono mi tu przyjechać - ciągnął Stephan spokojnym i niewzruszonym głosem - byłem pewien, że wrócę z synem

Lawrence'a...

- Proszę go tak nie nazywać - przerwała Mandy. - On nie jest jedynie synem pana brata. Ma swoje imię. Joshua.

- Oczywiście - zgodził się. - Planowałem wrócić z Joshua. Miał być wychowywany w pałacu i przyzwyczajany oraz przyuczony do obowiązków, które w przyszłości przejmie.

- A parta mamusia i tatuś z utęsknieniem czekają na wnuczka? - zapytała sarkastycznie.

Przez chwilę Stephan spoglądał na nią ze zdumieniem, jakby starał się pojąć znaczenie słów wypowiedzianych w obcym języku. Na jego twarzy pojawił się wyraz zmieszania. Trwało to moment, jak mgnienie oka, lecz Mandy mogłaby przysiąc, że właśnie przez ten moment dostrzega w jego oczach wyraz bólu i smutku.

- Oczywiście, że król i królowa czekają na syna Lawre... na Josha.

- Oni nie potrzebują Josha. Chcą tylko następcy tronu - rzuciła ze złością. - Dla was wszystkich jest on tylko następcą tronu. Alena opowiadała, jak wychowywał się Lawrence. Co chwila miał nową nianię i musiał prosić o specjalną audiencję, gdy chciał zobaczyć rodziców. I tego samego chce pan dla Josha?

- Jest księciem. Ma obowiązki wobec swojego narodu.

Wrócił kelner, niosąc tacę. Mandy zajęła się swoją filiżanką - osłodziła herbatę i wrzuciła do niej plaster cytryny, bacząc przy tym, by drzenie jej rąk nie było zbyt widoczne. Musi zmienić strategię działania. Otwarta wojna z tym człowiekiem niczego nie da. Nie może pozwolić, by złość i strach przysłoniły jej zdolność logicznego myślenia i właściwej oceny sytuacji. Pokona go jego własną bronią - musi być tak jak on spokojna i opanowana. Wygra tę walkę. Dla Josha.

- To piękny hotel - powiedziała lekkim tonem, dając sobie czas na odzyskanie równowagi. - Macie podobne na Kastylii?

Stephan rozejrzał się wokół.

- Nie, ale mamy podobną obsługę. Jesteśmy małym krajem o starych tradycjach. Nasze nawet najnowocześniejsze hotele są sto lat za waszymi. Dlatego król posłał Lawrence'a do Ameryki, by przywiózł jakieś pomysły na modernizację kraju. Bardzo

potrzebujemy zmian. Podczas gdy świat wchodzi w dwudziesty pierwszy wiek, my ledwie wkroczyliśmy w dwudziesty - zaśmiał się z wyraźnym przymusem.

Nie uszło uwagi Mandy, że Stephan, mówiąc o swoim ojcu, już po raz drugi nazwał go królem. Może był bardziej podobny do brata niż na początku przypuszczała? Być może właśnie to, że nigdy nie miał normalnej rodziny, powodowało, że w jego oczach co jakiś czas pojawić się ten przelotny wyraz smutku?

- Więc Lawrence miał zapoznać się w Ameryce z rozwojem cywilizacyjnym mojego kraju, a pan w Europie miał poznać historię starego kontynentu? Czy tak?

Skinął głową i pociągnął łyk herbaty.

- A co z siostrą? – zapytała Mandy. - Alena wspominała, że Lawrence miał siostrę.

Dotychczas napięte rysy twarzy Stephana wyraźnie rozluźniły się, a na wargach pojawił się łagodny uśmiech.

- Tak, mam młodszą siostrę. Ma na imię Szahara.

- A gdzie ona pojechała na studia? Też do Europy?

- To przecież kobieta. Królowa nauczyła ją wszystkiego, co powinna wiedzieć.

Mandy postawiła filiżankę na stole z taką siłą, że trochę herbaty wylało się na nieskazitelnie czysty obrus.

- Słucham?

Stephan pokrył zmieszanie rozbajającym uśmiechem.

Mówiłem pani, że musimy iść naprzód. I tak, wbrew tradycji, moja siostra sporo podróżowała po świecie. To właśnie ona ma najwięcej pomysłów na zmiany, o które aż prosi się nasz kraj. Dotychczas skomputeryzowała już pałac i nieustannie używając Internetu, śledzi najważniejsze wieści ze świata.

- Macie na wyspie komputery? - zdziwiła się Mandy. - Komputery to nie dziewiętnasty wiek.

- Nie jesteśmy aż tak zacofani. Mamy w domach elektryczność i kanalizację, mamy też telefony i telewizory, a niektórzy mają nawet komputery, choć posiadanie komputera i telewizora to raczej przywilej bogatych. Większość ludzi wciąż żyje bez nowoczesnych udogodnień.

- I to chcecie zmienić?

- Przede wszystkim, jak już wspomniałem, Szahara tylko czeka, by wprowadzić swoje plany w życie. Jednak król woli, by na razie wszystko pozostało tak, jak jest i nie przykłada zbytnej wagi do realizacji jej pomysłów. Jednakże uważam, że moja siostra będzie wyśmienitym doradcą jego następcy.

- A kto nim będzie, jeśli Joshua nie... hm...

- Jeśli nie wróci na Kastylię? - dokończył za nią Stephan. - Wtedy ja przejmę tron.

To była najbardziej pocieszająca wiadomość, jaką usłyszała od wczoraj.

- Ach tak! A nie chciałby pan zostać królem?

- To, czy bym chciał, czy nie, nie ma znaczenia. Problem w tym, kto jest prawowitym następcą tronu.

- Ale pan chciałby nim być. - Mandy nie dawała za wygraną.

- Ujmę to inaczej. - Stephan zrobił kolejny unik. - Sprawowanie władzy to obowiązek, którego się podejmę, jeśli zajdzie taka konieczność. Lecz syn Lawrence'a jest...

- Joshua! On nazywa się Joshua Crawford i jest moim legalnie adoptowanym synem! - wybuchła Mandy. - Nie może pan po prostu, ot tak, zabrać go do swojego kraju, nie licząc się ze mną!

Zagryzła wargę i wpatrzyła się w blat stołu. Znowu traciła kontrolę nad emocjami.

- Zapewniam panią, że nie mam takiego zamiaru. - Jak zwykle Stephan był opanowany - Gdy tylko poznałem pani rodzinę, zdałem sobie sprawę, że moje początkowe plany są nieaktualne. Musimy raczej znaleźć jakiś kompromis, który zadowoli obie strony. Myślę, że powinniśmy uzgodnić plan, dotyczący trybu życia chłopca, oczywiście póki jest niepełnoletni. Na przykład, pół roku spędzi u państwa, a drogie pół na Kastylii. To da mu szansę, by być z panią, lecz także, by poznać swój kraj.

Mandy poczuła ucisk w żołądku. Z przerażeniem spojrzała na Stephana.

- Chce pan go rozpołować? Rozerwać na dwie części? By w całym tym zamieszaniu nie wiedział, kim właściwie jest i... gdzie jest jego prawdziwy dom?

- Dobrze, już dobrze. Co więc pani proponuje?

Mandy zdecydowała, że nadszedł już czas, by wyciągnąć swojego asa. Nie miała wyboru. Oparła się o fotel, położyła ręce na stole i uważnie spojrzała na Stephana.

- Zanim podejmiemy jakąkolwiek decyzję, proponuję, by poznał pan lepiej mojego syna i sam pozwolił mu się poznać.

- To brzmi zachęcająco - przyznał.

- Moja matka właśnie przygotowuje panu pokój gościnny. Jeszcze dziś wieczorem może pan się do nas wprowadzić i rozpocząć prawdziwą znajomość z Joshem.

Otworzył szeroko oczy i w jego źrenicach błysnęły przez moment gorące ognie.

Zmieszana, zajęła się filiżanką, unosząc ją do ust i próbując skupić całą uwagę na picciu herbaty. Wołała uniknąć przenikliwego spojrzenia mężczyzny.

Gdy po chwili uniosła głowę, jego wzrok znów przypomina chłodne, styczniowe niebo.

- Dobrze - powiedział. - Wymelduję się z hotelu i wieczorem wprowadzę się do państwa na dwa tygodnie. Ten czas powinien wystarczyć na podjęcie wszystkich niezbędnych decyzji.

Mimo oficjalnego tonu, jakim starał się mówić, jego głos zabrzmiał nieco chrapliwie.

Mandy nagle pomyślała, że ten mężczyzna z pewnością sypia nago. No i co z tego? Nic... tylko że od tej nocy będą spali przez czternaście dni pod jednym dachem! Pod dachem jej rodzinnego, gościnnego domu.

ROZDZIAŁ TRZECI

Stephan miał wiele powodów, by przyjąć propozycję lub raczej - wyzwanie Mandy. W równej mierze wpłynęły na tę decyzję jej uwagi dotyczące jego smutnego dzieciństwa. Dopóki nie rzuciła mu tego prosto w twarz, nosił to w sobie, ale zawsze głęboko upchnięte w pokładach pamięci. Nagle przypomniał sobie wyraźnie, jak z bratem i siostrą garnęli się do siebie w wielkim, zimnym pałacu, zupełnie ignorowani przez rodziców. Lawrence był z nieco najstarszy. On pierwszy zauważył, że nie warto przywiązywać się zbyt do nianiek, ponieważ następowa jedna po drugiej. Dzielił się swoją wiedzą z młodszym rodzeństwem, zaznaczając, że pewnie jako książęta nie mogą zbyt bratać się z ludem i dlatego ciągle mają nowe nianie.

Stephan zdawał sobie sprawę, że jako członek królewskiego rodu nie powinien być sentymentalny. Powinien myśleć racjonalnie. Jednak uważał, że nie może tak po prostu zabrać dziecka do swojego kraju, gdzie wszystko dokoła będzie dla niego obce. Joshua nie miałby tam ani brata, ani siostry, do których mógłby przytulić się w chwilach samotności. No tak, ale miałby kochającego wujka i kochającą ciocię Szaharę.

Konieczne musi najpierw bliżej poznać chłopca i przywiązać go do siebie, tylko... jak to się robi? Tego nie wiedział. No bo i skąd?

Miał też inne powody, by przyjąć zaproszenie Mandy. Czuł, że bitwa, którą przyszło mu stoczyć z tą kobietą, od początku go podnieca. Coś go do niej przyciągało, burzyło krew w jego żyłach i powodowało ucisk w podbrzuszu. Dlatego teraz, z walizkami w bagażniku swojego wynajętego samochodu, pędził do jej domu, odczuwając jednocześnie niecierpliwość i strach, oba uczucia w równym stopniu.

Gdy zajechał przed duży, stary dom, nie zdziwił go widok całej rodziny Crawfordów, siedzących na werandzie i raczących się tą dziwną herbatą z lodówki. Mandy odłączyła od grupy i wyszła mu na spotkanie. Joshua rzucił się ku niemu i powitał jak dawno niewidzianego przyjaciela, tarmosząc mu rączkami nogawkę i radośnie paplając coś w sobie tylko znanym języku.

Stephan spoglądał z góry na chłopca i nie bardzo wiedział, co

ma zrobić. Na czole pojawiły mu się kremle potu. I to wcale nie z powodu upału. Wiedział, jak zabawiać królów, ich żony i zagranicznych dyplomatów, ale nie miał pojęcia, w jaki sposób rozmawiać z tym małym dzieckiem, które mówiło jakimś niedającym się rozszyfrować językiem.

- Jeszcze nigdy nie miał do czynienia z obcymi - wyjaśniła Mandy.

Kiedy Joshua wyciągnął w górę swoją drobną rączkę, Stephan ujął ją z przesadną ostrożnością i nie mógł się nadziwić, jak delikatne były paluszki chłopca. Mały pociągnął księcia w kierunku ganku, a ten poddał mu się posłusznie.

Cień pojawił się na twarzy Mandy, gdy zobaczyła, jak jej syn uwiesił się na ręce Reynarda. To nie wróżyło nic dobrego.

Stephan zauważył niezręczność sytuacji, a nawet współczuł kobiecie, lecz nie mógł nic na to poradzić.

Mandy najpierw przedstawiła mu ojca, potem brata, Darryla i jego żonę, Lindę. Wszyscy witali go, jakby był jakimś bardzo ważnym gościem, a nie zwykłym intruzem. Stephan już po raz drugi pomyślał, że jeśli chodzi o ich dobre obyczaje, to ta teksaska rodzina wcale nie pozostaje w tyle za jego własną. Z tym, że w jego rodzinie żadne dziecko nie ośmieliłoby się złapać gościa za rękę i poprowadzić tam, gdzie chciało iść. A poza tym żadne dziecko w jego rodzinie nie wyglądałoby tak szczęśliwie i beztrzesko.

- Pokażę panu pokój - zaproponowała Mandy, kierując się do drzwi.

- Bagaż w samochodzie? - zapytał jej ojciec.

- Właśnie po nie idę.

- Pomogę panu...

Dan Crawford nie był przyzwyczajony do oficjalnego tonu we własnym domu.

- Skoro mamy mieszkać pod jednym dachem, proponuję, byśmy mówili sobie wszyscy po imieniu, zgoda? - Wyciągną rękę, widząc aprobatę gościa. - Mów mi Dan.

Stephan uścisnął mu dłoń. Obaj mężczyźni poszli do samochodu i po chwili wrócili, niosąc walizki.

- Trzeba się nieźle namęczyć, by wtaszczyć coś po tych

schodach. - Starszy pan poklepał Stephana po plecach. - Wiem coś o tym. Przez te wszystkie lata, za sprawą Rity, wniosłem na górę z tysiąc ton.

- Dan! Przesadzasz.

Jego żona zrobiła nadąsaną minę, lecz po chwili śmiała się ze wszystkimi. Stephan wyczuł szczególną nić porozumienia, jakąś niespotykaną bliskość pomiędzy rodzicami Mandy.

Pomyślał, że odległość między ich krajami tym razem zaczęła rosnąć. To jednak były dwa różne światy.

Wzięli z Danem po jednej walizce i podążyli za Mandy na górę szerokimi, krętymi schodami. Na środku drewnianych stopni powstały wyżłobienia od wieloletniego używania, lecz całe schody były gładko wypolerowane i czyste.

Wczoraj, mimo napięcia i zmieszania, Stephan dostrzegł trafne połączenie użyteczności i piękna w tym domu. Okiem znawcy ogarnął wysokie sufity, pozwalające unosić się gorącemu powietrzu, okna na przestrzał, by przeciąg wietrzył pomieszczenia, firanki tkane w duże oczka, zatrzymujące promienie słoneczne, lecz nie świeże powietrze. Po obu stronach domu były efektowne, lecz też funkcjonalne werandy, świetnie zacinające drzwi wejściowe. Było też sporo ozdób, które urozmaicały architekturę domu, jak choćby te rzeźbione kolumny na ganku lub framugi drzwi w kształcie łuku.

Stephan nie mógł się doczekać, by ujrzeć pokój gościnny.

Nie zawiódł się. Po obu stronach widnego, przestronnego pomieszczenia znajdowały się okna z białymi koronkowymi firankami, lekko trzepocącymi w podmuchach wietrzyku. Duża kanapa przykryta była ręcznie obszywaną narzutą. Na okazałym kredensie, nakrytym szydełkową serwetą, stał flakon świeżych kwiatów. Pokój ten, więcej... cały dom wydawał się, jak wszystko, co Stephan widział w Teksasie, taki obszerny, jasny i otwarty.

- Możesz się rozpakować - powiedział Dan. - Czuj się, jak u siebie w domu. Masz do swojej dyspozycji całe piętro. Następne drzwi to łazienka. Za jakąś godzinkę będzie kolacja. Rita właśnie przyrządza pyszną pieczeń, więc mam nadzieję, że jesteś głodny.

Wyszedł, lecz Mandy została, poprawiając jeszcze narzutę i poduszki na łóżku.

- Wiem, że ten pokój jest... jakby damski - uśmiechnęła się. - To Nana zrobiła tę kapę i wszystkie serwetki. Uwielbia szydełkować.

- Bardzo mi się tu podoba.

Stephan zdał sobie nagle sprawę, że są całkiem sami w pokoju, w którym stoi łóżko. To była bardzo intymna sytuacja.

Coś takiego byłoby nie do przyjęcia w jego kraju, gdzie bardzo przestrzegano konwenansów i tak zwanych zasad moralnych. Wiedział, ma się rozumieć, że i tak do niczego między nimi nie dojdzie, lecz samo wyobrażenie sprawiło, że czuł w uszach pulsowanie krwi.

- Kiedyś mieszkali tu babcia, z dziadkiem. Po śmierci dziadka, babcia wołała przenieść się na dół. Pewnie czuła się tu zbyt samotna.

Odwróciła się w jego stronę. Przez chwilę ich spojrzenia spotkały się i znów coś zaiskrzyło między nimi. Jakieś napięcie naładowane erotyką. Stephan nagle poczuł słodką, mocną woń. Nie był pewien, czy to zapach Mandy, czy też któregoś z kwiatów w pokoju, ale wiedział, że jeśli jeszcze kiedyś poczuje tę woń, przywoła mu ona w pamięci obraz tej czarującej kobiety.

Mandy zwilżyła językiem wargi, pozostawiając je lekko rozchylone. Nigdy w życiu Stephan nie pragnął pocałunku tak, jak w tym momencie.

- Jeśli będzie pan czegoś potrzebował. - Zaczerwieniła się, dostrzegłszy podwójne znaczenie swoich słów. - Ręczniki, mydło i wszystkie inne przybory toaletowe znajdzie pan w łazience.

Obróciła się lekko w stronę drzwi. Promienie słońca ogarnęły całą jej postać, wydobywając złoty blask z jej włosów i podkreślając przezroczystość jej porcelanowej skóry. Czysta biel letniej sukienki rzuciła jasną poświatę na jej kremowe ramiona i szyję. Dekolt był wystarczająco duży, by dręczyć zmysły mężczyzny zarysem kształtnych piersi. Stephan nie potrafił oprzeć się wyobrażeniom, jak je pieści... takie gładkie, ciężkie i rozpalone... twardniejące pod dotykiem jego dłoni.

Jeśli pan będzie czegoś potrzebował... Potrzebował Mandy. Pragnął dotykać jej, przytulić się do niej, poczuć jej ciało i zatracić się w jej objęciach.

Potrzebował także jak najszybciej zapanować nad swoimi

zmysłami. Lecz z całą pewnością była to ostatnia rzecz, jaką chciał zrobić.

- Dziękuję - zdołał wykrztusić.

Jego głos, o dziwo, brzmiał zupełnie zwyczajnie. Lata treningu, pomyślał.

- Dam pani znać, gdy...- ciężko przełknął - będę czegoś potrzebował.

Mandy skinęła głową, obróciła się i błyskawicznie wyszła z pokoju, który bez niej wydał się Stephanowi ogromny i pusty. Czując łomot serca w piersi, przeszedł przez pokój i usiadł w drewnianym bujanym fotelu.

Na przykładzie brata widział, jaką cenę płaci ten, kto wiąże się z Amerykanką i zapominając kim jest, daje się zwyczajnie ponieść uczuciom. Lawrence zapomniał wszystko, co od dzieciństwa im wpajano. Zapomniał, że przyszły król nie może kochać kogo chce i nie wolno mu się do nikogo przywiązywać. Nie powinien romansować z Alena i płodzić z nią syna. Powinien pamiętać o dekrete. Przez jego nieostrożność i zwykłe nieposłuszeństwo powstał teraz cały ten problem. Stephan postanowił, że nie wpadnie w taką samą pułapkę jak jego brat. Bez względu na to, jak kusząca byłaby uroda Mandy. Bez względu na to, jak skomlałoby jego ciało. Nie musi zaspokajać swoich zmysłów za tak wysoką cenę.

Mandy stawiała właśnie ostatni talerz na stole w jadalni, skoncentrowała, by go nie upuścić. Po tej krótkiej rozmowie ze Stephanem wciąż trzęsły jej się ręce i czuła suchość w ustach. Cóż za okropny pomysł, by go tu zapraszać. Nie był tu nawet godziny, a już narobił w jej głowie kupę zamieszania, no i wygląda na to, że Joshua wprost gamie się do niego. Do diaska, wszystko wskazuje na to, że z czasem będzie jeszcze gorzej.

- Co robisz, kochanie? - spytała ją matka. - Używamy albo odświętnej porcelany, albo codziennej. Nie ma potrzeby mieszać dwóch kompletów.

- Och! Przepraszam - mruknęła, czerwieniąc się. - Zamyśliłam się.

Trudno jej było przewidzieć, czym jeszcze się skompromituje, ale wiedziała, że będzie dużo gorzej.

Czym prędzej zebrała odświętne naczynia i wymieniła je na zwykłe. W końcu gość miał poznać ich życie codzienne.

Parę minut później wszyscy zasiedli do kolacji. Jej rodzice zajęli swoje zwykłe miejsca na przeciwległych krańcach stołu a reszta usadowiła się dowolnie. Jedynie Stephanowi matka wskazała miejsce między Stacy a Joshem, siedzącym na wysokim krześle. Mandy ucieszyła się, że to nie ona musi ocierać się o gościa łokciem.

Spojrzała na Stephana. Miał na sobie swój nieodzowny garnitur, a na twarzy... coś, jakby zmieszanie. Dobrze mu tak.

Gdy usiadła, odruchowo chwyciła dłoń Josha siedzącego po jej prawej stronie i dłoń brata siedzącego po lewej.

- Mówiąc modlitwę, trzymamy się za ręce - wyjaśniła matka.

Stephan, wyraźnie zaskoczony, starał się jednak robić to, co domownicy. Po krótkim błogosławieństwie ojca, przez kilka minut kiedy podawane z rąk do rąk naczynia. Mandy dostrzega, jak gość niepewnie radził sobie z tą czynnością. Niezdarnie trzymał półmisek i bez wprawy nakładał sobie potrawę na talerz. Zauważyła też jego wahanie i wyraz popłochu w oczach, nim podał naczynie dalej.

- U nas obowiązuje samoobsługa - zauważyła zgryźliwie, rozdrabniając mięso, ziemniaki i marchewkę dla Josha. - Dziś służba ma wolne.

Siedząca po drugiej stołu babcia zatrzymała widelec w połowie drogi do ust i groźnie marszcząc brwi, zmierzyła wnuczkę ostrzegawczym spojrzeniem.

- Staramy się zachowywać swobodnie, jak to mówią młodzi: być na luzie - powiedział ojciec, który dostrzegł karcące spojrzenie swojej matki. - Jemy to, na co mamy ochotę, a to znaczy, że sami sobie nakładamy. Także poza porą posiłków lodówka stoi przed wszystkimi otworem. I jeszcze jedno, w tym upale lepiej nosić jakies lekkie ubranie. Dzisiaj jest niedziela, więc panie włożyły spódnice, a my długie spodnie, lecz zwykle chodzimy w szortach. Oczywiście, nie mam nic przeciwko twojemu ubraniu. Bardzo ładny garnitur. Ale jeśli będzie ci za gorąco, radzę ubrać się w coś lekkiego.

- Z przyjemnością skorzystam z rady - odrzekł Stephan swoim zabawnym, zbyt oficjalnym tonem. - Muszę kupić sobie bardziej stosowne ubrania.

- A tam u was nie bywa tak gorąco? - zaciekawiała się Stacy.
- Raczej nie. Dwadzieścia pięć stopni ciepła to dla nas upał.
- Jak to jest mieszkać w zamku? - dopytywała się dziewczynka.
- Mieszkamy w pałacu - wyjaśnił. - Zamek jest teraz jedynie turystyczną atrakcją. Wewnątrz pałacu panuje chłód przez większą część roku, dlatego nosimy ciężkie ubrania, takie jak mój garnitur. Wasz dom jest dużo przyjemniejszy od naszego pałacu. Tyle tu macie okien i światła...

- Bardzo stary jest wasz pałac? - dopytywała się Stacy.

- Główna jego część została zbudowana około tysiąc sześćsetnego roku.

- Och! A ja myślałam, że nasz dom jest stary.

- A kiedy zbudowano wasz dom?

- Niedawno, w porównaniu z pałacem...

- Prawie sto lat temu - włączyła się Mandy, chcąc pokazać mu, że jej rodzina też ma swoją historię i tradycję. - Nasz prapradziadek zbudował go dla wybranki swojego serca, gdy przenieśli się tu z Atlanty.

Spojrzał na nią ponad głową Josha, który jedną ręką upychał w buzi ziemniaka, a drugą marchewkę.

- To wasza rodzina nie mieszkała tu od zawsze? Wzięła jedną rączkę chłopca, wytarta ją serwetką, po czym włożyła w nią widelec.

- Jest pan w Ameryce. Od zawsze to mieszkali tu Indianie. A już szczególnie w Teksasie. Mimo iż jesteście jedną z najstarszych rodzin w tym stanie.

Po chwili żałowała, że nie może cofnąć tych słów. Po co te przechwałki? Czy musi mu coś udowadniać? Cóż, chciała jedynie pokazać, że mają swoje korzenie. Są zwykłą, akceptowaną społecznie rodziną, a właśnie takiej rodziny Josh potrzebuje najbardziej.

W pewnej chwili chłopiec podsunął Stephanowi kawałek swojej pieczeni, wprawiając go w takie zmieszanie, że w jego oczach znów pojawiła się panika.

- Synku, ten pan ma już swoją pieczęń. - Mandy przysłała mu z pomocą. - Ta jest twoją.

- Dobrze.

Mały nadział mięso na widelec i dopiero za drugim razem udało mu się trafić do buzi. Stephan zrobił gest wokół swoich ust, naśladując malca.

- On... cały się umazał.

- No tak, ale nie ma sensu wycierać go, zanim nie skończy jeść. Za chwilę znowu wyglądałby tak samo.

- Rozumiem.

Tak było lepiej. Mówiła o czymś, co dobrze знаła, a o czym Stephan nie miał zielonego pojęcia. Aczkolwiek, gdy pierwszy raz przyniosła małego do domu, nie wiedziała, jak opiekować się dzieckiem i była całkowicie zdana na pomoc i doświadczenie matki i babci. Bez rodziny nie poradziłaby sobie. Odkąd matkowała chłopcu, miała sporo czasu, by nauczyć się, jak się z nim obchodzić, no, a Stephan raczej nigdy dotąd nie miał do czynienia z dziećmi. Pomijając już to, że ona miała czas, by pokochać tego małego urwisa, podczas gdy Reynard widział chłopca dopiero drugi raz w życiu. Patrząc na Josha, potrafił w nim dostrzec jedynie księcia, nie stosownie umazanego jedzeniem. Mandy uznała więc, że zdecydowanie ma przewagę nad Stephanem.

Kolacja przebiegła bez zakłóceń. Gość uwinął się ze swoją porcją, złożył serwetkę i rozsiadł się wygodnie, z wyrazem sytości na twarzy.

- Wyśmienita pieczeń. - Uznał, że teraz nadszedł czas na pochwały. - Mięso było kruche i doskonale przyprawione. Chciałbym mieć przepis dla naszego kucharza. Czy mogę go sobie zanotować?

Rita, cała rozpromieniona, obiecała, że przed jego wyjazdem na pewno da mu przepis na pieczeń. Dan, poklepawszy się po brzuchu, posłał żonie szeroki uśmiech.

- Wszystko, co robi Rita, jest przepyszne. Moja matka też jest mistrzynią w kuchni. Sam pan się przekona, bo zaraz będziemy jeść jej ciasto z kremem kokosowym. - Wstał od stołu i zapytał: - Wszyscy gotowi? No, to niesiemy naczynia do kuchni. Nasze panie zaraz je pozmywają i będziemy mogli posmakować ciasta.

- Mężczyźni mają dziś wolne. - Rita wstała i zaczęła zbierać

talerze. - Same to zrobimy.

- Dzięki, kochanie. - Mąż pocałował ją w policzek. - Wychodzimy, panowie, póki się nie rozmyśli.

Zwykle Mandy zachęcała Josha, by wychodził z mężczyznami, gdy one zmywały, lecz dziś wolą mieć go przy sobie. Dała mu nawet kilka błyszczących sztućców, które dumnie niósł do kuchni.

- Jak na razie, wszystko idzie dobrze - powiedziała matka, wlewając trochę zielonego płynu do zlewu, pełnego gorącej wody.

- Bardzo dobrze - dodała babcia. - Stephan to dobrze wychowany, miły młody człowiek.

- Maś! - Josh wręczył matce łyżkę.

- Dziękuję, synku. - Mandy podała ją do umycia Ricie. - Jeszcze za wcześnie na ocenę Jego Królewskiej Mości.

Linda przyniosła stos talerzy.

- Jest w porządku - dorzuciła swoje trzy grosze. - Pewnie myślałaś, że jak jest księciem, to zaraz musi być zadufanym w sobie snobem. A on jest normalny... i jaki z niego przystojniak!

- No pewnie! - zgodziła się Stacy. - Musi super wyglądać na balu.

Złapała Lindę w ramiona i obie zawirowały po kuchni, przesadnie naśladując kroki walca, po czym wybuchły głośnym śmiechem.

Mandy wzięła czystą ścierkę i zaczęła wycierać ociekające wodą talerze, które matka układała na stole.

- Powariowałyście, czy co? - Nie w smak jej było zachowanie siostry i szwagierki. - Stacy to jeszcze smarkula, więc jej się nie dziwię, ale ty, Lindo? Jesteś mężatką, a wkrótce zostaniesz matką!

Winowajczyni nie przestawała chichotać.

- Nie mów, że nie zauważyłaś, jaki jest seksowny - odparowała jej Linda.

- Zdaje się, że zapomnieliście, czego od nas chce ten człowiek. - Mandy zmieniła temat rozmowy. - Chce nam zabrać Josha.

To je otrzeźwiło.

- Nie zrobi nam tego - powiedziała Stacy. - Widzę, jak bardzo się stara dopasować do naszej rodziny. Teraz, gdy już nas poznał, nie zabierze Josha. Może będzie go często odwiedzał, a może kiedyś

zaprosi nas wszystkich do siebie? Gdy Josh będzie dorosły, sam zadecyduje, czy chce mieszkać w pałacu. Hej, Josh, chcesz być księciem? Mały książę!

- Książę?! - wykrzyknął chłopczyk i pobiegł do drzwi, jakby zamierzał uciec z kuchni.

Leżący pod stołem pies, na dźwięk swojego imienia podniósł się i wyczekująco przekrzywił głowę.

- Masz rację, synku, uciekaj od królowania - powiedziała Mandy i zwróciła się do psa: - A ty. Książę, leż spokojnie. To nie o tobie mowa.

Nazajutrz wczesnym rankiem Mandy siedziała na werandzie i bez pośpiechu piła kawę. O tej porze świat wydawał się jeszcze całkiem uśpiony, jakby zastygły w czasie, lecz niebawem pierwszy ptak zbudził się do życia i radosnym ćwierkaniem zdawał się oznajmiać, że oto nastał nowy dzień. Po chwili ze wszystkich stron dochodził ptasi świergot. Ptaki zdumiewająco zgodnym chórem śpiewały hymn na cześć wschodzącego słońca. Trzy domy dalej, stary kogut Freda Huntera ubarwiał ptasi śpiew swoim doniosłym pianiem.

Gdy otworzyły się za nią drzwi, odwróciła się, sądząc, że zobaczy babcię, która była kolejnym rannym ptaszkiem w rodzinie. Przeważnie obie uczestniczyły w tej porannej ceremonii powitania słońca.

Nawet nie była zaskoczona, gdy w drzwiach ujrzała Stephana. Liczyła się z tym, że teraz wszędzie będzie go pełno.

- Dzień dobry - powiedział. - Mogę się dosiąść? To moja ulubiona pora dnia.

- Widzę, że nalał pan sobie kawy. Mam nadzieję, że nie jest za mocna. Lubimy tutaj zaczynać dzień od porządnej dawki energii.

- Pamiętasz, mieliśmy sobie mówić po imieniu - przypomniał wczorajsze słowa jej ojca.

- Ach, prawda...

Usiadł na krześle obok niej. Tego ranka już nie miał na sobie marynarki ani krawata, pozostał jedynie w czarnych spodniach i białej, rozpiętej na piersi koszuli, której podwinięte mankiety odsłaniały jego muskularne, pokryte ciemnymi włoskami

przedramiona. Mimo to udało mu się zachować typową dla niego sztywną oficjalność, jednak musiała przyznać, że zarazem wyglądał pociągająco.

Mandy oparła się o krzesło i głęboko wciągnęła powietrze, chcąc oderwać uwagę od Stephana i skupić się na tej szczególnej porze dnia.

- To zdumiewające - wyszeptał. - W powietrzu czuję jakąś cudowną woń, tak jakby słońce niesło ze sobą wszystkie zapachy krajów, które w nocy odwiedziło.

Spojrzała na niego uważnie. Sam na sam z nim czuła się trochę niezręcznie, lecz świadomość, że dzielili ten szczególny moment, napawała ją wzruszeniem.

- Też to czujesz? Myślałam, że tylko Nana i ja potrafimy uchwycić tę woń...

Wziął kilka głębokich oddechów.

- Tak, czułem to, ale teraz już zniknął ten zapach...

- Bo trwa on jedynie kilka sekund. Trzeba tu być o właściwej porze, by go uchwycić. W twoim kraju też macie coś podobnego?

Spojrzał na nią i uśmiechnął się.

- Któż to wie? Przy pałacu nie mamy frontowej werandy, aby móc się i kontemplować wschód słońca.

Mandy wstała z krzesła, dusząc w sobie tę śmieszna chęć, by jakoś wyrazić mu współczucie. Biedny Stephan, miał pałac... bez werandy.

- Lepiej już pójść i wezmę się do robienia śniadania. Wkrótce wszyscy będą na nogach.

- Chyba niezbyt wielu Amerykanów mieszka tak jak twoja rodzina, nieprawdaż? Znaczący, kilka pokoleń w jednym domu. Na przykład twój brat ma osobne mieszkanie...

Odwrociła się, oparła łokcie o poręcz i spojrzała mu w twarz.

- Nie, to raczej nie jest typowe. W Ameryce mamy dużo przestrzeni, a chyba każdy chce mieć swój własny kąt, taką swoją prywatność. Kiedyś myślałam, że i dla mnie tak będzie najlepiej, że powinnam mieszkać osobno, lecz... - Wzruszyła ramionami. - Myliłam się. Kiedy straciłam dziadka, a potem, gdy pojawił się Josh, zdałam sobie sprawę, jak bardzo potrzebuję rodziny, więc wróciłam

tutaj, zamiast robić karierę w Dallas.

- Myślałem, że Urząd Adopcyjny wymagał od ciebie powrotu do domu, skoro jesteś niezamężna. Wiadomo, adoptowane dziecko potrzebuje stabilnej rodziny.

- Owszem, to też miało znaczenie. Taggartowie woleli, by ktoś inny wychowywał dziecko Aleny. Byłam panną, właśnie dostałam dyplom, miałam sporo ofert pracy w Dallas, lecz żadnej nie przyjąłem. Powrót do domu z pewnością pomógł w sprawie adopcji Joshua, ale to nie był główny powód...

Rozejrzała się wokół. Jej wzrok zatrzymał się na potężnych, starych dębach, które dawały nie tylko cień i schronienie przed teksaskim słońcem, lecz również poczucie stabilności w świecie, który zmieniał się nieustannie, nie zawsze na lepsze.

- Siedziałam na tej werandzie i patrzyłam na te drzewa jako mała dziewczynka, potem jako nastolatka, a teraz jako kobieta. To jest mój dom. Jestem jego częścią.

- Codziennie dojeżdżasz do Dallas? - zapytał. - Do pracy?

- Ależ nie. Wszystkie oferty pracy, jakie tam dostałam, to stanowiska kierownicze. Musiałabym być dyspozycyjna od rana do nocy, nieraz w weekendy, no i gotowa do częstych podróży. Nie mogłam sobie pozwolić na takie życie, gdy pojawił się Josh. Pracuję tu, na miejscu, w Willoughby. Jestem nauczycielką w podstawówce. Może kiedyś Josh będzie w mojej klasie.

Oczywiście, jeśli mi go nie zabierzesz - ale tego nie ośmieliła się wypowiedzieć.

- Mam nadzieję, że lubisz duże śniadania z toną cholesterolu? - dodała, zmieniając temat.

- W Teksasie mogę polubić... - Stephan posłał jej rozbrajający uśmiech.

Do Mandy nagle dotarło, że cały dzisiejszy dzień ojciec z bratem spędzą w sklepie, matka pewnie pojedzie z nimi, by pomóc w księgowości, Nana pójdzie na spotkanie klubu brydżowego, a Stacy będzie gdzieś grać z koleżankami w tenisa. Znaczyłoby to, że w domu pozostanie z nią tylko Josh i... Stephan.

Z minuty na minutę zaczynało się robić coraz goręcej.

Po śniadaniu Mandy wzięła prysznic i włożywszy szorty i T-

shirt, ubrała Josha. Zeszli na dół i właśnie mieli wyjść na podwórko, gdy z salonu wyłonił się Stephan.

- Stee! - wykrzykuj uradowany chłopczyk.

Starał się powiedzieć coś jeszcze, ale wyszedł z tego niezrozumiały szczebiot. Gdy skończył, wyczekująco patrzył na zdeorientowanego Stephana, który zerknął na Mandy, w nadziei na pomoc.

- Masz rację, kochanie - przytaknęła, głaszcząc włosy chłopca. - Stephanie, co o tym myślisz?

- Ależ tak, Josh.

- Zobacz, synku, gdzie jest babcia. Ciekawe, co teraz robi?

Chłopiec pędem ruszył na poszukiwanie babci. Stephan odetchnął z ulgą.

- Ty naprawdę rozumiesz, co on mówi?

- Praktyka - rzuciła ze śmiechem. - Ale muszę przyznać, że domyślam się większości słów. Rozumiem tylko niektóre.

- Więc o co mu chodziło tym razem?

- O ile się nie mylę, mówił o kąpieli w wannie i o tygrysie, który zakradł się do lodówki.

Zwykle opanowany Stephan wyglądał teraz na całkiem zdeorientowanego. Mandy, choć niechętnie, musiała jednak przyznać, że z tą zdumioną miną wydawał się jeszcze bardziej pociągający.

- Ale to nie ma sensu... - wybełkotał.

- Pewnie, że nie ma. - Znów miała nad nim przewagę, mogąc mu coś wyjaśnić. - To jeszcze dziecko. Dopiero uczy się mówić. Nawet nie wiem na pewno, czy rzeczywiście to powiedział. Może mówił, co mu się śniło lub to po prostu wymyślił. To jednak nie jest kłamstwo. W tym wieku dzieci mają bardzo bujną wyobraźnię i często mieszają sny z rzeczywistością.

Pomyślała, że Stephan z pewnością zdał sobie sprawę, jak słabe jest jego przygotowanie, by wychowywać dziecko: Bez wątplenia nie on opiekowałby się Joshem. To zadanie przypadłoby całym zastępom nianieek.

- Może mogłabyś towarzyszyć mi podczas zakupów? - niespodziewanie zmienił temat.

- Czy ja wiem... zakupy to nie moja specjalność - odparta nieufnie.

Czy zamierzał przekupywać Josha prezentami, zajechać przed dom samochodem wyładowanym zabawkami i obsypać chłopca wszystkim, co tylko oferowały sklepy? Tak jak państwo Taggartowie obsypywali Alenę?

- Rozumiem. Widzisz, potrzebuję pomocy przy wyborze jakiegoś stosownego ubrania. Mam wrażenie, że jestem ubrany... troszkę za ciepło.

Troszkę za ciepło - to mało powiedziane. Widziała, że gotuje się w tych swoich garniturach. Odetchnęła jednak z ulgą. To dobrze, że nie planował odwiedzania sklepów z zabawkami.

- Rzeczywiście, chyba troszkę ci za ciepło - powtórzyła rozbawiona. - Dobrze, pomogę ci w zakupach. I tak miałam iść do spożywczego.

Zaśmiał się jak młody urwis. W tym momencie Mandy uchwyciła jego podobieństwo do Josha. Typowo rodzinne podobieństwo.

- A to świetnie! Nigdy jeszcze nie byłem w spożywczym sklepie! - wykrzykuj.

- To skąd bierzecie żywność... Ach, prawda! U was służący są od robienia zakupów.

- Raczej pracownicy, zatrudniamy personel. Nie mamy służących - wyjaśnił. - Każdy, kto pracuje w pałacu, całkiem nieźle zarabia. Mamy nawet listę płac.

- Personel czy służący... Wszystko jedno. I tak ktoś za was pracuje. No, ale teraz jesteśmy w Willoughby. Wezmę listę zakupów i możemy jechać. - Podesta do drzwi, lecz odwróciła się i dodała: - To małe miasteczko i plotki rozchodzą się tu błyskawicznie. Nie chcę, by życie Josha zostało zakłócone przez wścibskich dziennikarzy, którzy natychmiast by nas dopadli, gdyby tylko dowiedzieli się, kim jesteś i po co tu przyjechałeś. To dla nich byłaby niezła lokalna sensacja. Więc umówmy się, że jeśli spotkamy kogoś znajomego, a spotkamy na pewno, bo znam prawie wszystkich w mieście, to przedstawię cię jako krewnego z północy kraju. Dziesiąta woda po kisielu. To nawet nie będzie kłamstwo, bo przecież jesteś

wujkiem Josha, a twój dziwny akcent potwierdzi pochodzenie. Oczywiście, chyba nikt w Ameryce nie mówi z takim akcentem jak ty, lecz ludzie stąd myślą, że Jankesi mówią inaczej. Na pewno więc uwierzą nam.

- Dziesiąta woda po kisielu?

- Tak mówimy o dalekich krewnych – zaśmiała się. - Na przykład: starszy syn siostry żony szwagra kuzynki twojej matki.

Jego oczy źrebiły się okrągłe jak spodki. W końcu, nie mogąc się w tym połapać, wybuchnął śmiechem. Jego dźwięczny śmiech sprawił, że poczuła się wyjątkowo dobrze... i to właśnie było najgorsze. Nie miną dwadzieścia cztery godziny, odkąd Stephan się do nich wprowadził, a ona ani przez chwilę nie mogła przestać o nim myśleć. Musi coś z tym zrobić, zanim będzie za późno. Powinna pamiętać, że to nie jakiś daleki krewny ani zwyczajny przystojny mężczyzna, który działa na jej zmysły. Reynard jest księciem, synem bogatych i potężnych władców Kastylii, którzy mają jeden cel ukraść jej Josha.

- Wezmę tę listę zakupów i jedziemy - mruknęła i czym prędzej wyszła.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Stephan pchał powoli swój wózek, rozglądając się między zapelnionymi półkami, najwidoczniej oczarowany mnóstwem otaczających go towarów.

- Nadzwyczajne! - powtarzał od czasu do czasu.

Josh siedział w wózku Mandy. W pewnym momencie wierzgnął swoimi krótkimi nóżkami i wykrzyknął coś, co brzmiało prawie jak „nadzwyczajne”. Jeśli zacznie papugować słownictwo Stephana, szybko nauczy się mówić jak książę, a to wcale się Mandy nie podobało.

Przyglądała się Stephanowi z taką dokładnością, z jaką on studiował towary na półkach. Zdecydowanie dobrze zrobiła, zabierając go do nowego hipermarketu przy szosie głównej i nie pokazując się z nim w małych sklepikach w okolicy domu, gdzie przeważnie robiła zakupy. Nie przepadała za ogromnymi sklepami, gdzie wszyscy wydawali się tacy anonimowi, lecz wybrała ten market częściowo po to, by zrobić wrażenie na swoim gościu, by pokazać mu, że Kastylia pod żadnym względem nie dorównuje jej krajowi. Miała nawet nadzieję, że Stephan przestraszy się tutejszego zgiełku i wreszcie zda sobie sprawę, że jest na jej terytorium. Że ona tu rządzi.

Tutaj nie musiała się martwić, że ktoś ich rozpozna, gdyż hipermarket położony był na obrzeżach miasta i klientami byli ludzie z całej okolicy. Nie to co sklepiki w samym Willoughby, gdzie sklepikarze znali ją z imienia i pewnie nawet pamiętali, kiedy wypadały jej mleczne zęby.

Jak na razie, była zadowolona - Stephan zdawał się być zachwycony ogromem powierzchni sklepowej i różnorodnością towarów, a co ważniejsze, nie spotkali dotychczas żadnego z jej znajomych. Cóż, przechadzali się między półkami zaledwie kilkanaście minut, a każdy, kto ich mijał, od razu musiał dostrzec podobieństwo między jej synem a tym przystojnym mężczyzną. Ze swoim arystokratycznym sposobem bycia Stephan wyróżniał się w tłumie. Nie sposób było go nie zauważyć. Może jednak uda się jakoś go ukryć?

Jeśli Stephan zostanie u nich dłużej, ktoś i tak go odkryje i

wtedy nie unikną pytań. Tak, powinna otwarcie mówić, że odwiedził ich daleki krewny, a ludzie bez zmrużenia oka połkną tę bajkę.

No dobrze. Ale Stephan nie wyglądał na zwykłego Jankesa. Ta jego wyniosła postawa, zupełnie nie amerykański akcent i to eleganckie ubranie, jakby szyte na specjalne zamówienie. .. Któż da się nabrać?

Więc najpierw trzeba go odpowiednio ubrać. Taki mały kamuflaż, by książę wtopił się w lud.

- Tu mamy dział męski. - Wskazała na stół, na którym leżały szorty w różnych kolorach i fasonach. - Na pewno nie są tej jakości, do jakiej jesteś przyzwyczajony, ale chyba nie ma sensu wydawać dużo pieniędzy na coś, czego i tak nie będziesz nosił, gdy wrócisz do siebie.

Jej słowa przypomniały mu, że musi stąd wyjechać. I to nie kiedyś, lecz wkrótce, najdalej za dwa tygodnie.

- Nie są takie złe - powiedział, ignorując jej aluzję.

Z wahaniem począł przebierać w rzeczach leżących na stole, lecz po chwili zastygł w bezruchu i bezradnie spojrzał na Mandy.

- Te rozmiary są bardzo osobliwe...

- Bo podane są w calach, a nie w centymetrach, czy czego wy tam używacie. Najlepiej od razu przymierzyć kilka par. Jak na moje oko, masz w pasie trzydzieści cztery, no może trzydzieści sześć cali...

Na twarzy poczuła rumieniec, gdy zdała sobie sprawę, do czego się właśnie przyznała. Otóż, stało się dla niego jasne, że przyglądała mu się wystarczająco dokładnie, by znać rozmiar jego talii.

- Tam jest przymierzalnia - dodała w pośpiechu, nie chcąc, by dostrzegł jej zmieszanie.

Coś błysnęło w jego lodowatych oczach, lecz trwało to tak krótko, że Mandy nie była pewna, czy to nie złudzenie. Spojrzał we wskazanym przez nią kierunku, po czym wziął kilka par szortów i odważnie skierował się do przymierzalni. Nie zdążył tam wejść, gdy zatrzymała go starsza kobieta, ekspedientka pilnująca działu.

- Hej, kowboju! A ile to przymierzamy? Ile sztuk?

- Słucham?

- Ile pan wziął?

- Nie rozumiem...

- Trzeba podać ilość garderoby wnoszonej do przymierzalni. - Mandy przysłała mu z pomocą.

- Dlaczego ta pani życzy sobie to wiedzieć? A co ją to obchodzi?

- Stephan nadal nic nie rozumiał.

- Bo chce być pewna, że tyle samo klient wyniesie po przymierzeniu.

Zmarszczył brwi, a po chwili, gdy wreszcie w pełni pojął, o co chodzi, wyprężył się, stanął prawie na baczność i z oburzeniem wydał nozdrza. On, księżę Kastylji, nigdy jeszcze nie był traktowany jak potencjalny złodziej!

- Rozumie pani, on jest z Północy - wyjaśniła szybko Mandy, nim Stephan zdołał powiedzieć, co myśli o takim traktowaniu. - A tam wszyscy faceci to dziwacy.

Kobietę, na szczęście, mało to interesowało. Mandy przeliczyła szorty, podała jej ich liczbę i spojrzała na Stephana.

- Można mierzyć... kowboju. - Nie mogła się powstrzymać, by tego nie dodać.

Ekspedientka posłużyła się tym określeniem w znaczeniu potocznie używanej nazwy ogólnie odnoszącej się do rodzaju męskiego. Jednak sam fakt, że ktoś w ogóle mógł nazwać księcia Stephana Reynarda kowbojem, szczerze Mandy ubawił.

- Kowboj! - wykrzykuj Josh, uderzając radośnie rączkami o metalową ściankę wózka. - Pif, patf!

Stephan uśmiechnął się i zrobił w ich stronę przesadny ukłon.

- Może powinienem zakupić ostrogi i kapelusz?

- Może. Ale nie do szortów. - Mandy nie kryła rozbawienia.

Sztywny jak kołek, wreszcie zniknął za zasłoną przymierzalni. Zdawał się zupełnie nie pasować do świata. Wprawdzie mają już kilka wspólnych wspomnień, choćby ta piękna chwila, gdy razem czekali na świt, a teraz to śmieszne nieporozumienie przy zakupie szortów, lecz ciągle żyją w dwóch zupełnie odmiennych światach.

- Kowboj! - powtórzył Josh.

- Ładne dziecko - rzuciła od niechcienia ekspedientka. - Wykapany tatuś.

Przez chwilę Mandy zastanawiała się, skąd ta kobieta mogła

wiedzieć o Lawrensie. Ależ nie, jej chodziło o Stephana! Tylko tego jej brakowało! Nie chciała, by ludzie myśleli, że Stephan jest ojcem jej dziecka. Było wystarczająco dużo gadania, kiedy wróciła do miasteczka z „podobno” adoptowanym dzieckiem, bez jego ojca. Nawet dokumenty adopcji, „przypadkowo” zostawione przez nią w bibliotece, nie zdołały do końca rozwiać wszystkich podejrzeń, jakimi karmiły się tutejsze plotkarki.

Wybierając szorty, potem koszulki i zwykle, lekkie buty, Stephan starał się zachować spokój i sztywny, oficjalny ton. Mandy obserwowała go jednak wystarczająco dokładnie, by uchwycić momenty jego frustracji - z powodu różnic w rozmiarach, zbyt małego wyboru towaru lub choćby takich praktyk, jak liczenie ubrań.

Znowu przeszli do działu spożywczego, omijając na szczęście ogromny dział z zabawkami, Mandy czuła się nieco winna, że tak bawiła ją irytacja Stephana. Ale tylko odrobinę winna. Im mniej panował nad sytuacją, tym większą miała przewagę i bardziej prawdopodobna była szansa, że księżę da za wygraną i wyjedzie... w miarę szybko... bez Josha.

I wreszcie przestanie ją kusić. Zauważyła, jak na każdym kroku jej myśli kierują się w jego stronę - a to rozmiar talii, a to porośnięte włoskami ręce, a to znowu jego głos, wibrujący przejmującym akcentem w jej uszach. Spędzają też razem coraz więcej czasu, dzieląc jakieś śmieszne i piękne chwile. Robi się gorzej niż wtedy, gdy w piątej klasie zadurzyła się w swoim nauczycielu.

Dużo gorzej.

Skupiła się na wyborze warzyw na sałatkę.

- Japgo! - wykrzyknął Josh, wyciągając rękę w kierunku dorodnego, czerwonego owocu.

- Wyglądają zachęcająco. Prawda, Joshua? - Stephan także, z dziecinną ciekawością, przyjrzał się jabłku. - Może wybierzemy kilka z nich do jedzenia, a także jakieś inne dla Nany na ciasto.

Ze zdumiewającym zapałem zaczął wybierać największe i najczerwieńsze jabłka, potem dorzucił jeszcze pękaty ananas i kilka melonów. W miarę, jak przemieszczali się wśród półek, w jego wózku ładowały coraz tonowe produkty. Mandy przeliczyła w myślach zawartość swojego portfela. Pewnie na wszystko nie

wystarczy. W porządku, wypisze czek. Stephan, oczywiście, nie miał pojęcia, co znaczy domowy budżet, że nie zawsze można kupić wszystko, co by się chciało.

- Spam? - przeczytał, biorąc do ręki prostokątną puszkę. - To coś związanego z Internetem?

- Spam! - Josh odkrył nowe słowo.

Wzięła puszkę od Stephana i ze zdziwieniem pokręciła głową.

- Większość ludzi w tym mieście nie miała do czynienia z Internetem, lecz doskonale wie, co jest w tej puszcze. A ty na odwrót. To konserwowa żywność. Dotarła do nas jeszcze przed Internetem. Jest starsza niż ty i ja.

- Im starsza, tym lepsza? Jak wino?

- Ależ skąd! Nie mam na myśli akurat tej puszk. Mówię, że od dawna produkuje się konserwy.

- Rozumiem. Ja wiem, co to są konserwy. Nie znam tylko tej Spam.

Wziął od niej puszkę, muskając przy tym dłonią jej palce. Nie, to było coś więcej niż muśnięcie. Można by to nawet uznać za dotyk. Wystarczający, by zalała ją fala gorąca. Wystarczający, by uciec wzrokiem od spotkania jego oczu, żeby nie zdradzić, co się z nią dzieje i przypadkiem nie dostrzec w jego oczach podobnych uczuć.

Ależ była śmieszna! Jak można pożądać księcia w otoczeniu pachnących świeżych wędlin, sardynek i konserw Spam!

Stephan schylił głowę, chcąc przyjrzeć się nalepce.

- O nie! - zaprotestowała szybko. - Proszę nie czytać składników.

- Dlaczego nie? Chciałbym wiedzieć, co jest w środku.

- Raczej wolałbyś nie wiedzieć. To coś jak szynka, tylko że zmielona z różnymi przyprawami, a następnie sprasowała.

- Jakie to osobliwe. A dlaczego najpierw ją mielono, a potem jeszcze prasowano?

Mandy wytrzeszczyła na niego oczy, niepewna, czy mówił poważnie, czy tylko się z nią przekomarza. Miał tę zdolność, że jednocześnie wyglądał i dostojnie, i nonszalancko, potrafił też zachowywać się sposobem niesłychanie wyszukany, jak i bardzo prostoduszny. Niebezpieczne kombinacje. Chyba dzięki nim miał

taki nieodparty urok. Prawie nieodparty.

- Bo szynka nie jest prostokątna i nie pasowałaby do kształtu puszki - w końcu znalazła odpowiedź.

- To brzmi sensownie. - Ostrożnie włożył konserwę Spam do koszyka.

Teraz całą jego uwagę zajął dział z mrożoną żywnością.

- O! Tu mamy szarlotkę. - Otworzył szklane drzwi i wyjął jedno opakowanie. - Możemy to kupić i twoja babcia nie będzie musiała nic piec.

- Ale tanie to samo co szarlotka Nany. Ona robi ją od zera.

- Jak to od zera? - Na moment przestał czytać etykietę.

- Przygotowuje wszystko z podstawowych składników. Nie kupujemy gotowych, mrożonych ciast.

- Bo nie są dobre?

- Są w porządku, ale nie tak dobre, jak wypieki Nany.

- Trudno upiec ciasto... od zera?

- No, nie tak łatwo.

- To dlaczego Nana nie woli kupić takiego? Tu jest napisane, że wystarczy włożyć na godzinę do piekarnika i gotowe. Nic prostszego.

- Bo babcia uwielbia piec ciasto dla całej rodziny. To część naszej tradycji, a sam wiesz jak ważne są tradycje.

- Tak. - Patrzył to na nią, to na ciasto. - Masz zupełną rację.

Następne było ciasto orzechowe, potem z wiśniami.

- Masz bzika na punkcie ciast? - spytała poirytowana Mandy.

- Uwielbiam słodczyce.

Josh, jakby zrozumiał o czym mowa, bo zaczął klaskać rączkami i coś tam po swojemu mówić.

- On też lubi słodczyce - powiedziała Mandy, jakby to nie było oczywiste. - Ale jeśli przywieziemy tyle ciast do domu, zranimy tym uczucia Nany. Wypieki to jej specjalność.

- Jeśli poczuje się tym zraniona, wystosuję odpowiednie przeprosiny i pozbędę się wszystkich niestosownych zakupów.

- No dobrze.

Wcale nie było dobrze. Miała jednak nadzieję, że babcia postara się zrozumieć, iż Stephan, pochodzący z kraju o innych zwyczajach,

ma prawo od czasu do czasu popełniać gafy. Zresztą, babcia dotychczas za bardzo nim się zachwycała, więc chyba nic sienie stanie, jeśli gość zajdzie jej trochę za skórę.

Kiedy w końcu stanęli w kolejce, do kasy, w wózku Mandy ledwie mieściły się mrożone pizze, pikantne sosy, mleko czekoladowe, lody w trzech smakach, kilka placków z nadzieniem, parę mrożonych ciast, dwie paczki herbatników i cała masa innych rzeczy, które wpadły Stephanowi w oko, jak choćby gumy balonowe albo gumowe misiach, pajączki czy robaczki.

W dziale ze słodyczami Josh omal nie oszalał na widok kolorowych, kuszących opakowań, otaczających go ze wszystkich stron. Gdy jechał z matką po zakupy, wiedział, że może wybrać sobie tylko jedną rzecz. Tym razem, mimo jej protestów, Stephan ładował do wózka wszystko, co mały wskazał palcem. W końcu udało się go powstrzymać, gdy Mandy z zaciśniętymi zębami wyszczała, że mają już wystarczająco dużo słodyczy, by całą rodzinę wpędzić w cukrzycową śpiączkę.

- Nadmiar cukru jest szkodliwy - burknęła.

Posłał jej beztroskie spojrzenie, jakby próbował powiedzieć, że on nie boi się cukrzycy, bo to jego nie dotyczy, ponieważ księżęta mogą jeść cukier bezkarnie.

Być może miał rację.

Podczas gdy kasjerka podliczała ceny ich zakupów, a Josh zjadał się w najlepsze gumowymi misiaczkami, Stephan stał za Mandy, tak blisko, że czuła, jak oddechem rozwiewa jej włosy. Pachniał mydłem, używanym przez wszystkich w jej rodzinie, lecz zapach ten przepojony był jakąś inną wonią - męską i wyrafinowaną. Była to isticie ponętna kombinacja. I tak uderzająca do głowy...

- Mandy!

Podskoczyła na dźwięk swego imienia. W kolejce przy sąsiedniej kasie stała Carol West, kelnerka z Willoughby Grill. Jeśli Carol dotychczas jeszcze nie zdobyła tytułu największej plotkary w mieście, to z pewnością nastąpi to niebawem.

- Cześć, Carol. - Mandy daremnie próbowała udąć entuzjazm.

- Cały czas macham do ciebie, a ty co, śpisz? - rzuciła jednym tchem.

Jej wzrok ześlizną się z Mandy na Stephana.

- Carol, to jest Stephan, mój kuzyn z północy kraju. - Na wszelki wypadek Mandy wołała pominąć nazwisko. - Przyjechał na kilka dni.

- Nie wiedziałam, że masz tam krewnych.

- A pewnie, że mam. Całą gromadę. Stephan jest siostrzeńcem żony brata mojego dziadka.

- Rozumiem, dziesiąta woda po kisielu.

Prawy kącik ust Stephena drgnął i uniósł się nieco do góry w grymasie całkiem przypominającym uśmiech. Lekko skłonił głowę.

- Zgadza się. Dziesiąty kowboj po kisielu. Jestem zaszczycony, że mogę panią poznać.

Ręka Carol podążyła w kierunku jej blond włosów. Nawinęła na palec jasny kosmyk i uśmiechnęła się zalotnie.

- Ma pan słodki akcent, Steve. A tak dokładniej, to skąd pan jest?

- Z Nowego Jorku - powiedziała Mandy.

Choć umysł podpowiadał jej, by nie robić głupstw, impulsywnie wyciągnęła rękę i ujęła Stephana pod ramię, jakby chciała zaznaczyć swoje prawo własności. Nie dość, że straciła kontrolę nad swoimi hormonami, to teraz także jej ręka okazywała całkowity brak posłuszeństwa.

- Jak długo zamierza pan tu zostać? - Carol nie przestawała pytać.

- Niezbyt długo - odpowiedziała Mandy.

- Mam nadzieję, że Mandy zabierze pana w sobotę na obchody Święta Niepodległości. Organizujemy nad jeziorem duży piknik z grillem, grać będzie dobra kapela. Potem całą paczką jedziemy do Dallas na gry i zabawy. Umie pan grać w dwustep?

Niestety, Stephan najprawdopodobniej nie wyjedzie do soboty. Teraz, gdy już odkryto jego obecność w ich domu, Mandy nie będzie mogła się wymigać, by go nie zabrać na tego nieszczęsnego grilla. Lecz wszystkie inne plany stłumi w zarodku.

- Carol, on jest Jankesem. Wiesz, że oni nie mają pojęcia, co to jest dwustep, a o ciuciubabce też nie słyszeli.

- Ależ, kuzynko Mandy - niespodziewanie wtrącił się Stephan. - Przecież brałem lekcje.

Spojrzała na niego z osłupieniem w oczach, a on wciąż wydawał się dostoyny i zrównoważony, tylko w uniesionym kąciku jego ust ciągle czaiło się coś na kształt uśmiechu. Oczywiście, jej zażenowanie bawiło go w tym samym stopniu, co jego wcześniejsze kłopoty bawiły ją. Jego palce zacisnęły się na jej dłoni, która wciąż oplatała jego ramię. Serce Mandy przyspieszyło i zaczęło wystukiwać rytm jakiegoś skoczego ludowego tańca. Choćby nawet chciała, nie mogła oderwać od niego wzroku. I jakoś nieszczególnie starała się, by uciec od elektryzującego dotyku jego dłoni, bliskości jego ciała i jego ciepłego oddechu na swoim policzku.

- Nie chciałybyś zobaczyć, jak świetnie dwustepuję, kuzynko Mandy?

Och tak. Zdecydowanie. Zgodziłaby się na wszystko, dopóki trzymał ją w ramionach.

Ze zwykle chłodnych oczu Stephana tym razem biło ciepło - nie - raczej gorący żar, a to świadczyło o tym, że w jego słowach było coś więcej niż tylko pytanie. Mandy z przyjemnością zdała sobie sprawę, że przyciąganie, które czuła do niego, było wzajemne. Te przebliski jakiegoś tłumionego żaru w oczach były prawdziwe, a co więcej, to ona sprawiała, że ten gorący żar pojawiał się w jego wzroku.

- Czy to wszystko?

Mandy drgnęła na dźwięk kobiecego głosu. Kasjerka właśnie skończyła podliczać ceny towarów, które wcześniej Stephan wyłożył na ladę.

- Tak - powiedział, zanim Mandy zdążyła się odezwać. Odsunął się trochę i sięgnął do kieszeni po portfel. Mandy zeszywniała.

- Ja płacę za żywność - zaprotestowała.

- Pozwól, że ja to zrobię. Poza tym, to ja prawie wszystko wybrałem.

- Dziękuję - wysyczała przez zaciśnięte zęby.

Nie chciała robić mu scen w obecności Carol, dając jej tym więcej powodów do plotek. Ale w środku kipiała. Wyszli z hipermarketu.

- To trzymajcie się! Do zobaczenia w sobotę. - Carol pomachała ręką w ich stronę.

- Do soboty. Trzymaj się! - Stephan pomacha do niej. To potoczne pożegnanie, wypowiedziane z akcentem Stephana brzmiało trochę komicznie. Gość robił się podobny do Josha - powtarzał każde zasłyszane słowo. Mandy mogłaby to nawet uznać za sympatyczne... gdyby nie była taka wściekła.

Nie odzywała się, póki nie zajęli miejsc w furgonetce. Przypięła jeszcze Josha do jego fotelika i pozwoliła mu nadal zajadać się gumowymi misiami. Cały samochód będzie się kleił od tych obrzydliwych cukierków, ale trudno, przynajmniej przez kilka minut mały będzie cicho.

Spojrzała przez ramię na Stephana i odezwała się chłodno:

- Wypiszę ci czek za moje zakupy. Nie musisz kupować nam jedzenia, sami doskonale damy sobie radę. U nas goście nie muszą mieć własnej żywności.

Westchnął i przecesał dłonią swoje idealnie ułożone włosy, pozostawiając je w nieskazitelnym stanie.

- W moim kraju gość raczej nie wykorzystuje swoich gospodarzy i, jeśli przybywa pod czyjś dach bez prezentów, świadczy to o jego braku wychowania. Prezenty zależą od chęci i możliwości dającego i mają się nijak do potrzeb obdarowywanego. Z przyjemnością poproszę ojca, by wam przyśle brylantową szkatułkę z pozytywką albo obraz któregoś z mistrzów pędzla lub szmaragdowy naszyjnik, który by pasował do koloru twoich oczu. Chyba że pozwolisz mi zapłacić za dzisiejsze zakupy i, powiedzmy, parę razy zaprosić was wszystkich na obiad. Wybór należy do ciebie.

Przez kilka sekund Mandy nie mogła złapać oddechu. Gdy Stephan mówił o szmaragdowym naszyjniku, mogłaby uznać to za komplement, lecz wypowiedział to jak zwykle sztywnym, niezdradzającym uczuć głosem, więc prawdopodobnie nie było w jego słowach komplementu.

- Teraz jesteśmy w moim kraju - odparta oschle. - A tu gramy według moich reguł.

- Więc to tak traktujecie gości? - Uniósł brwi i zaśmiał się. - Myślałem, że gościnność jest dumą Teksańczyków.

Zacisnęła szczęki tak, że prawie poczuła zgrzyt zębów.

- Wszystko sprowadza się do pieniędzy, nieprawdaż? -

powiedziała z wyrzutem.

- Nie. Jedynie do uprzejmości.

Tego argumentu nie potrafiła odeprzeć.

Energicznie przekreśliła kluczyk w stacyjce i z impetem wcisnęła pedał gazu.

Księżę może sobie mówić, co chce - tu i tak chodziło o pieniądze. To one dawały władzę i to z nimi nieodłącznie przychodziła potrzeba, by wszystko zmieniać... nie zawsze na lepsze.

Mandy nie oszczędzała samochodu, pędząc tak szybko, jak tylko się dało. Jej jedynym pragnieniem było znaleźć się w domu, w otoczeniu najbliższych. Czuła wielką potrzebę odkrycia na nowo tego, co pozostało z jej starego, kochanego świata. Nie było już dziadka, jednak ogromna część jej życia na pewno może pozostać taka, jaka była od zawsze - bezpieczna i niezmienna. A Stephan niech się trzyma od niej z daleka.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Stephan przyjrzał się swemu odbiciu w lustrze szafy stojącej w gościnnym pokoju Crawfordów. Musiał przyznać, że nowe ubranie było bardziej przewiewne i dużo wygodniejsze. Podczas kilku swoich podróży do ciepłych krajów kusiło go, by zachowywać się jak turysta i nosić ubrania odpowiednie do klimatu, lecz zawsze powstrzymywał się, dbając o swój wizerunek członka królewskiej rodziny Kastylii. Jednak teraz był w Teksasie, w małym miasteczku Willoughby. Został przedstawiony jako kuzyn z północy kraju, dziesiąta woda po kisielu, a nawet nazwany kowbojem o imieniu Steve. Uśmiechnął się, wciąż patrząc na siebie. Kowboj Steve mógł bezkarnie nosić szorty i kraciastą koszulę.

Czując się dziwnie ożywiony i przede wszystkim wolny, opuścił pokój i po schodach zszedł na dół.

Choć nie widział Mandy i Joshua, słyszał śmiech i radosne okrzyki chłopca, pomieszane ze świergotem ptaków dolatującym zza otwartych okien. I szczekanie psa. Książę. Tak go nazywali. Początkowo czuł się tym nieco urażony, lecz teraz nie miał im tego za złe. Przecież traktowali psa po królewsku.

Wyszedł na frontową werandę i stanął bez ruchu, obserwując Mandy. Rzuciła czymś przez podwórko, a Joshua, zachęcany okrzykami matki, szedł z psem w zawody, by to coś przynieść.

Mandy miała na sobie szorty. Nosila je bez cienia świadomości, jak wspaniale w nich wygląda. Zauważył, że rano w hipermarkecie prawie żaden mężczyzna nie mógł oderwać oczu od jej długich, szczupłych nóg i kusząco zarysowanych bioder. Pod jej białym T-shirtem, z nadrukiem teksaskiej flagi i napisem, nie igrając z Teksasem, wyraźnie rysował się piękny kształt piersi.

Ogniste włosy Mandy zaczesane były do tyłu i związane w koński ogon, a po bokach głowy kręcące się kosmyki zmysłowo opadały na policzki. Biła od niej jakaś naturalna godność, kiedy nachylała się i klaszcząc w dłonie, wołała do psa „przynieś!”. Tak jak we wszystko, co robiła, wkładała i w tę zabawę całe swoje serce. A Joshua, rzucając się na trawę i próbując wyrwać psu kość, ani trochę nie wyglądał na książęce dziecko.

Po chwili pies łaskawie zrezygnował z walki o pożądaną przez

chłopca kość, więc Joshua, z szerokim uśmiechem na umazanej twarzy, biegł do matki, coś triumfalnie wykrzykując. Stephan wyobraził sobie minę królowej, gdyby mogła teraz widzieć swojego wnuka - przyszłego następcę tronu.

Ta myśl wywołała na twarzy Stephana mimowolny uśmiech. Czując się trochę nieswojo w nowym letnim ubraniu, minął werandę i zszedł po schodkach przed dom. Josh, gdy tylko go dostrzegł, upuścił kość na ziemię i rzucił się ku niemu z szeroko rozwartymi ramionami.

- Stee!

- Chce, żebyś go podniósł - powiedziała Mandy, ale nie wygląda na zachwyconą. - Nachyl się, proszę, wyciągnij ręce i podnieś go do góry - dodała, widząc zafrasowaną minę Stephana.

Nie należała do królewskiego rodu, jednak polecenia umiała wydawać z naturalną wyniosłością królowej.

Z zażenowaniem zastosował się do jej wskazówek. Gdy Joshua zawiei mu się na szyi, Stephan niezgrabnie uniósł chłopca, ten głośno go cmoknął, śliniąc mu policzek. I począł paplać coś w swoim dziecięcym języku. Stephan niepewnie tulił swojego bratanka, wdychając zapach trawy, błota i... psiej sierści.

Josh miał oczy Lawrence'a.

Stephana zalała fala wspomnień. Przypomniawszy sobie, jak dawno temu, w zimne i ciemne noce, wraz z siostrą Szaharą wykradał się ze swoich pokoi i zbierali się u dużego brata Lawrence'a, tłocząc się w jego łóżku i pocieszając się nawzajem po odejściu niani Angeli, potem niani Francis, następnie niani Kathy. Kolejnych imion opiekunek nawet nie pamiętał Lawrence przekazywał im swoją mądrość, jaką zdobył przez lata, jako ich starszy brat: nie uczcie się imion swoich opiekunek. Nie przywiązujcie się do nich. Łatwiej jest, gdy odchodzi ktoś, kogo prawie nie znacie. A nianie odchodziły, jedna za drugą. Od wczesnego dzieciństwa Lawrence pełnił rolę przywódcy. Nic dziwnego, był w końcu dwa lata starszy od Stephana.

Gdy teraz patrzył w oczy Josha, tak podobne do oczu jego brata - choć w oczach Lawrence'a nigdy nie było takich ogników - Stephan nagle zrozumiał, jak bardzo jest odpowiedzialny za tę kruszynkę.

Cała przyszłość chłopca leżała teraz w jego rękach. Postara się więc, by go nie skrzywdzić.

Jakim sposobem ta prosta misja, z jaką tu przyjechał, mogła się tak skomplikować?

- Gotowi, by coś zjeść? - Głos Mandy wyrwał go z zadumy. - Chodź do mamusi brudasku.

A jeśli mowa o komplikacjach...

Mandy wyciągnęła ramiona do Josha. Słońce zamigotało w jej płomiennych włosach. Tym razem Stephan nie potrafił się oprzeć. Dotknął jednego z wijących się kosmyków i odkrył, że włosy były rzeczywiście gorące. Nie miał pojęcia, czy ciepło pochodziło od ognistego koloru, czy od słońca, czy też może od jego własnej dłoni.

Ze zdumienia szeroko otworzyła oczy, a jej źrenice powoli powiększyły się. Nieznacznie rozchyliła usta, jakby potrafiła czytać w jego myślach i wiedziała, jak bardzo pragnął ją pocałować. Jakby przewidywała, co nastąpi za chwilę.

Stał przed domem w jaskrawych promieniach słońca. Mandy trzymała na rękach Josha. Choćby nawet okoliczności były bardziej sprzyjające, gdyby nie było z nimi Josha, to i tak nie był to czas ani miejsce na pocałunek.

Mandy Crawford i Stephan Reynard nigdy nie będą mieli wspólnego czasu i miejsca. Księżę miał swoje obowiązki, a wiązanie się z Amerykanką z pewnością do nich nie należało. Wiązanie się z kimkolwiek w jego sytuacji byłoby niepoważne. Lawience zapomniał o swoich obowiązkach i przyniosło to cierpienie nie tylko jemu, ale i innym. Stephan nie powtórzy błędu brata.

Jednak był bezsilny. Dotknął palcami jej policzka, zbliżył usta do jej twarzy i dotknął nimi jej jedwabiste gładkich warg. Przyłgnął do nich na moment, upajając się uczuciem rozkoszy, łomotem serca i wrażeniem jakiejś nieodgadnionej, cudownej obietnicy. Po chwili, z trudem zbierając siły, oderwał się od jej warg.

Mandy zamrugała oczyma i, jakby zbudzona ze snu, zerwała się do ucieczki. Wbiegła po schodach na werandę.

- Zrobię kanapki - rzuciła za siebie. Jedyne lekka zadyszka w jej głosie zdradzała, że coś się stało.

O tak, z pewnością stało się coś ważnego.

Pocałunek trwał tyle co uderzenie serca, a tak wiele potrafił zmienić. Potwierdził, że iskrzenie między nimi było jak najbardziej prawdziwe. Teraz, jakkolwiek staraliby się zaprzeczać uczuciom, jakie do siebie żywili, oboje wiedzieliby, że kłamią.

Nie było już odwrotu. Pocałunek, zamiast zaspokoić tęsknoty Stephana, jedynie podsycił palące go pożądanie. Potrzebował jej jeszcze bardziej. I wiedział, że nie może jej mieć. Ich światy były tak różne, że nie warto było nawet myśleć o jakimkolwiek związku. Stephan był księciem, miał do wykonania państwowe zadania, które nie zezwalały na osobiste zachcianki. Nie mógł dopuścić, by emocje przysłoniły zdolność trzeźwego myślenia, tak jak to się niegdyś przydarzyło jego bratu. Przez całe życie wpajano mu, jak opłakane skutki przynosi uleganie emocjom.

Nie mógł mieć Mandy, nieważne, jak bardzo by oboje tego pragnęli. Gdyby tylko mógł cofnąć czas i wymazać ten pocałunek. Nie, nieprawda! Nawet gdyby mógł, to i tak nie zrobiłby tego. Za żadne skarby świata. Wiedział, że gotów jest stawić czoło wszystkim komplikacjom, które powstaną po tym zdarzeniu.

Stacy wytarta ostatnią szklanekę, wstawiła ją do kredensu i odkręciła wodę, by opłukać z piany sztućce, które Mandy właśnie skończyła myć.

- Ładnie z jego strony, że kupił tyle ciasta - powiedziała. - Nana wreszcie odpocznie od pieczenia.

Mandy, zanurzwszy ręce w gorącej, spienionej wodzie, chwyciła talerz i poczęła go przesadnie szorować.

- Ciasto orzechowe Nany jest dużo lepsze od tego, które jedliśmy wieczorem.

Wiedziała, że przecież nie o to jej chodziło. Po prostu zwyczajnie buntowała się przeciwko wtargnięciu tego mężczyzny do jej rodziny. Nie pasował do ich świata, był przeciwieństwem wszystkiego, co ona i jej rodzina cenili. Stawało się to coraz bardziej oczywiste. Przynajmniej dla Mandy. Niestety, inni zdawali się tego nie zauważać.

- Niech ci będzie - przytaknęła Stacy. - Ale założę się, że Nany to ciasto smakowało bardziej.

- A niby dlaczego?

- Bo nie musiała go sama piec, głuptasku.

- Nana uwielbia dla nas gotować i piec ciasto. - Mandy fuknęła na siostrę. - Zawsze to powtarza.

- Już dobrze. - Stacy wzruszyła ramionami. - Ale wyglądała na bardzo zadowoloną, gdy znalazła w lodówce te mrożone produkty.

- Naprawdę? Musiałam być wtedy w ogrodzie z Joshem. Rzeczywiście, prawie całe popołudnie i wieczór starała się unikać Stephana po tym krótkim, lecz niezapomnianym pocałunku. Choć wmawiała sobie niechęć do niego i do całego zdarzenia, nie była w stanie wymazać tego pocałunku z pamięci. Przeżywała go od nowa... jeszcze raz... i jeszcze...

Zachowanie spokoju podczas obiadu dużo ją kosztowało. Nie ośmieliła się podnieść głowy znad talerza. Nie wytrzymałaby jego wzroku. Wołała nie wiedzieć, czy ich pocałunek zrobił na nim równie silne wrażenie, jak na niej.

Uczucia, które wywołał w niej ten pocałunek, wreszcie pozwoliły jej zrozumieć, dlaczego Alena nie potrafiła trzymać się od Lawrence'a z daleka, choć było jasne, że ich związek nie miał szans na przetrwanie. Mandy była aż nazbyt świadoma, że przepaść dzieląca ją od Stephana była równie głęboka jak ta, która rozdzieliła Lawrence'a i Alenę. Mimo to, nie mogła przestać myśleć o zmysłowym dotyku jego ust.

- Hej, nie śpij! - Stacy przerwała jej mrzonki. - Stephen spytał Nanę, czy ma coś przeciwko tym mrożonkom, a ona mu na to, że to dla niej najlepszy prezent, odkąd dostała przyrząd do masażu stóp.

- Chyba naprawdę lubi tę zabawkę.

- Pewnie.

Mandy zamyśliła się.

- To dziwne. Gdy w ubiegłym roku próbowałam pomóc jej przy deserze, mówiła, że poradzi sobie sama.

- Nie pamiętasz? Twoje desery były tak udane, że nawet pies nie chciał ich tknąć.

- No dobrze, punkt dla ciebie. - Mandy parsknęła śmiechem i ochlapała siostrę wodą.

Umyła jeszcze kilka talerzy, po czym spojrzała w okno, za którym już skradał się zmrok.

- Mam nadzieję, że Nana nie jest chora? - zapytała z troską w głosie.

- Co też ci przyszło do głowy?

Stacy wyglądała na obruszoną. Mandy wzdrygnęła się na samą myśl, że babci mogłoby się coś stać.

- Pomyślałam sobie, że dlatego już nie chce dla nas piec, bo ją to bardzo męczy. Może jednak coś jej dolega, tylko nic nam nie mówi.

- Wcale nie trzeba być chorym, żeby znudzić się robieniem w kółko tego samego. Czasami ma się ochotę zająć się czymś innym - skwitowała Stacy.

- To znaczy?

- Skąd mam wiedzieć? Może zaczniesz podróżować? Zwiedzać świat. A może zaczniesz chodzić na randki.

Zszokowana Mandy odwróciła się w stronę siostry.

- Babcia? Na randki? - Nie wierzyła własnym uszom. - Tak ci mówiła?

- Nie, tego nie powiedziała, ale wszystko może się zdarzyć. Minęły już trzy lata, odkąd umiał dziadek. Myślisz, że świat Nany to tylko siedzenie z nami i pieczenie nam ciasta? Mandy, zakłopotana swoim samolubstwem, zdała sobie sprawę, że właśnie tego spodziewała się po Nanie. Myślała, że owdowiała babcia poświęci się teraz dla Josha, tak jak niegdyś dla niej i rodzeństwa, że będzie mu piekła czekoladowe herbatniki i ciasteczka z orzechami.

- Oczywiście, Nana ma prawo do własnego życia - powiedziana.

- Niech sobie robi, na co ma ochotę. Jednak czuję się trochę zaskoczona. To wszystko jest takie dziwne.

- Hej, mam świetny pomysł - zawołała Stacy. - Kupmy papierowe talerze i plastikowe łyżki, a nie będziemy musiały więcej zmywać.

- Jasne, a jak kupimy papierowe ciuchy, to nie będziemy musiały prać.

- Byłoby super!

- No tak, ale gdybyś zmokła na deszczu, byłabyś bez ubrania - powiedziała Mandy i zerknęła na siostrę.

Stacy zachichotała.

- Założę się, że wtedy Kyle Forester by mnie zauważył.

Mandy zmierzyła swoją małą siostrzyczkę czułym spojrzeniem. Po raz pierwszy przyszło jej na myśl, że Stacy nie była już taka „mała”. Szesnastoletnia dziewczyna była tak wysoka, jak Mandy, a jej ciało dawno już nabrało kobiecych kształtów, które z pewnością przyciągały wzrok wielu mężczyzn. Stacy stawała się kobietą. Cóż, taka była kolej rzeczy. Jednak dziś wieczorem było to dla Mandy kolejne odkrycie, że wszystko w jej życiu nagle zmieniało się, umykało w przeszłość. Nie umiała znaleźć sposobu na zatrzymanie w miejscu starego bezpiecznego świata.

Siostry przekomarzały się jeszcze przez chwilę. Jednak myślami Mandy powędrował na frontową werandę, gdzie Stephan, rozkoszując się wieczornym chłodem, siedział w towarzystwie jej rodziny.

Zmywała naczynia w pośpiechu, by jak najszybciej znaleźć się wśród nich. Nie, wcale nie tęskniła za widokiem Stephana. Chciała raczej chronić przed nim swoich bliskich. A któż to wie...?

Kiedy umyte i osuszone naczynia stały na półkach, Mandy wytarta ręce i skierowała się do wyjścia. Stacy została w kuchni.

- Za chwilę przyjdę - powiedziała. - Przedzwonię do Megan. Może pomoże mi odrobić domowe zadanie z matmy.

Było bardziej prawdopodobne, że Stacy chce pogawędzić z przyjaciółką o Kyle'u Foresterze.

- Wpadnij do nas, jak skończysz - rzuciła Mandy przez ramię.

Podeszła do przeszklonych drzwi, przystania i przez moment przyglądała się zebranim na werandzie. Matka i babcia siedziały na ławce po jednej stronie, a ojciec, Linda, Darryl i Stephan rozsiedli się na składanych krzesłach po drugiej stronie werandy. Josh ganiał się z psem po podwórku.

To był długi, letni wieczór. Wciąż jeszcze było widno, lecz barwy nieba i drzew były teraz jakby bardziej stonowane niż podczas dnia. Wytworny dąb, pełna wdzięku magnolia i majestatyczna topola grzały się w ostatnich promieniach słońca. Łagodny wietrzyk, niosący zapach kaffyfolium, delikatnie szeleścił w liściach.

Świt, niosący tyle obietnic, był oczywiście najbardziej ulubioną porą Mandy, ale lubiła także wieczór, kiedy to cała rodzina, po skończonej pracy, mogła razem wypoczywać.

Otworzyła drzwi i dołączyła do nich.

- Byłam dziś u lekarza - pochwaliła się Linda, poklepując się po dużym, okrągłym brzuchu.

Mandy zauważyła, że twarz bratowej promieniała szczęściem.

- I doktor mówił, że będą trojaczki. - Darryl mrugnął okiem.

- Oj, przestań! - Linda uśmiechnęła się i żartobliwie uderzyła męża w ramię.

Mandy przysunęła sobie krzesło i usiadła, unikając choć by jednego spojrzenia w stronę Stephana.

- Wiesz już, czy to będzie chłopiec, czy dziewczynka? - spytała.

- Jeszcze nie. Ale czuję, jak on czy ona ciągle się wierci. Josh będzie miał konkurencję w zawodach na najbardziej hiperaktywne dziecko w rodzinie.

Linda nagle przerwała i zagryzła dolną wargę. Zerknęła na Stephana, po czym szybko odwróciła głowę.

Robiło się coraz ciemniej. Wszyscy zamilkli, a w powietrzu zdawało się wisieć tylko jedno przygnębiające pytanie: Czy Joshua nadal będzie należeć do ich rodziny, czy też nie?

- Zgadnij, córuś, co zrobimy - przerwał ciszę ojciec Mandy, starając się zmienić nastrój przygnębiania na bardziej pogodny. - Rozmawialiśmy ze Stephanem o przemeblowaniu w kuchni. Chcemy wstawić zmywarkę do naczyń.

- I wbudowaną w ścianę kuchenkę mikrofalową - dodała matka. - Starą wyrzuci się z kredensu i będzie więcej miejsca. No i nowe wentylatory.

Całkiem sensowne pomysły. Na pewno Stephan podpowiedział ojcu te zmiany. Mandy przemogła się i spojrzała na niego. Miał na sobie swój nowy strój - białą koszulę, krótkie spodenki i sportowe letnie buty. Wyglądał niesłychanie seksownie, a jednocześnie jakoś tak bardzo wytwornie. Siedział na zwykłym aluminiowym krześle niczym na książęcym tronie.

- Zainstalowanie wentylatorów nie będzie takie trudne - zapewnił Stephan. - Najpierw trzeba będzie...

Mandy czuła zamęt w głowie, nie słyszała dalszej części rozmowy. Wstała i ruszyła w kierunku Josha, grzebiącego patykiem w ziemi.

Naprzeciw chłopca leżał Książę, obserwując go czujnym wzrokiem. Mandy usiadła na trawie i posadziła sobie malca na kolanach. Był gorący, spocony i cały umorusany.

- Zmęczony mój synek?

- Nie! - Przecząco pokręcił głową, po czym oparł policzek o pierś matki. Powieki same mu opadały.

Mandy poczuła go kołysać. Zobaczyła, że zbliża się do niej Nana.

- Od lat tego nie robiłam - powiedziała babcia i powoli usiadła na trawie obok Mandy. - Już nie te lata. Kości mi skrzypią jak stare schody.

Mandy uśmiechnęła się.

- Gdybym miała wybór, to wolałabym być młoda – dodała Nana.

Poprawiła swoje luźne spodnie, pogłaskała rękę Mandy, a potem czuprynę Josha.

- Wszystko będzie dobrze - ciągnęła. - Stephan nie jest potworem i nie wykradnie nam Josha. Na pewno znajdziemy jakiś kompromis.

- Nie chcę żadnych kompromisów - wybuchła Mandy.

- Chcę, by wszystko zostało bez zmian.

Ku swemu zaskoczeniu, poczuła łyzy cisnące jej się do oczu. Zaciśnęła powieki, by je powstrzymać. Na szczęście było już na tyle ciemno, że babcia nie dostrzegła, w jakim jest stanie.

- Jak zwykle przesadzam. Zachowuję się jak histeryczka - próbowała się usprawiedliwić. - Wiem przecież, że Stephan tylko wykonuje swoje obowiązki. A w ogóle, to powinnam się cieszyć, że chce nam pomóc przy ulepszaniu domu. Może to całe zamieszanie wyjdzie nam na dobre? Pamiętasz, jak byłam mała, zawsze marudziłam, że Alena nie musi zmywać naczyń, bo Taggartowie mają zmywarkę, zazdrościłam im, że mają klimatyzację latem, a centralne ogrzewanie zimą, że w ich rurach nigdy nie warczało, że nie muszą rozmrażać lodówki. No tak, wszystko to mieli, a przecież nigdy nie byli szczęśliwi.

Nana otoczyła ją ramieniem i czule przycisnęła do piersi.

- A my, nawet gdy będziemy mieli wszystkie te rzeczy, wciąż będziemy szczęśliwi - szepnęła. - Nic i nikt nas nie rozłączy.

- Wiem tylko martwi mnie to, że gdy on się tu pojawił, wszystko

zbyt szybko się zmienia. Gdybym mogła, chciałabym cofnąć czas do momentu, gdy dziadek i Alena byli razem z nami.

- To były czasy. Wtedy jeszcze nie skrzypiałam jak stare schody - zaśmiała się staruszka. - zawsze będzie mi go brakowało. Ale gdybyśmy cofnęli czas, nie byłoby z nami Lindy i jej dziecka, no i... Joshua.

- Jestem chyba zbyt chciwa, bo chciałabym mieć wszystko naraz - rozchmurzyła się Mandy. - Wystarczy tych narzekań na dzisiaj. Idziemy!

Dostrzegła Lindę i Darryla, którzy powoli zbliżali się do nich.

- Dobranoc, Josh! - Linda nachyliła się, by pocałować chłopca. - Och, ledwie mogę się zgiąć. Jeszcze trochę, a przez ten brzuch nie będę mogła chodzić. Już nie widzę własnych stóp.

Wszyscy się roześmieli, a jej mąż przyciągnął ją do siebie.

- Nie martw się. W razie potrzeby to ja będę ci obcinał paznokcie u nóg. Do jutra, moi mili. - Pomachał na pożegnanie ręką i pomógł żonie wsiąść do samochodu.

Mandy próbowała się podnieść, ale zdrętwiałe nogi odmówiły jej posłuszeństwa. I siedzący na jej kolanach Josh wydawał się dwa razy cięższy.

Z ciemności wyłonił się Stephan i wprawiając ją w osłupienie, pochylił się i naturalnym gestem wziął Josha na ręce.

- Dziękuję, Stephan - odezwała się Nana, chcąc uprzedzić jakiś absurdalny protest wnuczki.

- Ja... też dziękuję - jak echo powtórzyła Mandy.

Zadowolony Josh, złożony główkę na piersi mężczyzny, mruzczył coś pod nosem. Widok Stephana z Joshem na rękach ranił serce Mandy. Oczywiście, nie miała nic przeciwko dobrym relacjom chłopca z jego wujkiem, ale nadmierna sympatia jej syna do Stephana nie wróżyła niczego dobrego. A jeśli za jakieś dziesięć lat Josh będzie chciał z nim wyjechać? Co będzie, jeśli wybierze jego styl życia, pełen przepychu i bogactwa?

- Dobranoc. - Nana ruszyła w kierunku werandy. Mandy wyciągnęła ręce po Josha, lecz zachwiała się na wciąż zdrętwiałych nogach. Stephan objął ją wolną ręką, przytrzymując, by nie upadła.

To była ciepła noc, lecz jego dotyk był ,tak gorący, że aż parzył.

- Jeszcze raz... dziękuję - zdołała wyszeptać.

Nie puszczał jej, nadal ją obejmował. Jego oczy były tak ciemne, jak nocne niebo. I równie niezgłębione. Gdy tak stali w bezruchu, ciszę wieczoru przerwało cykanie świerszcza, wyraziste i piękne. Zapach kapryfolium, który Mandy uchwyciła już wcześniej, połączył się teraz z męską, wyrafinowaną wonią. Woń ta dręczyła jej wyobraźnię obietnicą rozkoszy. Całą sobą tęskniła za dotykiem jego warg.

Zabrał rękę z jej ramienia i delikatnie musnął dłonią jej włosy, po czym kilka kosmyków odgarnął z jej czoła.

Wiedziała, że powinna uciekać - najdalej i najszybciej jak tylko potrafi, lecz stała jak zahipnotyzowana czymś ogromnie fascynującym, czego nie mogła dostać, zupełnie jak w czasach dzieciństwa, kiedy marzyła o jakiejś zabawce, która była dla niej nieosiągalna.

Josh, który zdążył zasnąć na rękach Stephana, nagle poruszył się i zaczął coś mamrotać przez sen. Cały urok prysł w jednej chwili. Mandy była uratowana. I zawiedziona...

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Tydzień minął jak mgnienie oka. Nadeszła sobota.

Mandy nie była zachwycona tym, że dziś musi pokazać się całemu miasteczku w towarzystwie Stephana, który w dodatku miał grać rolę dalekiego kuzyna z północy kraju.

Od tamtego wieczoru, kiedy to po raz pierwszy ją pocałował, Stephan nie śmiał powtórzyć pocałunku, ale każde spojrzenie, każde przypadkowe muśnięcie dłoni było dla nich obojga jak słodka pieśczoła. Coraz częściej, gdy zniemacka spoglądała na niego, przyłapywała jego tęskny, wbity w nią wzrok. W jego oczach widziała ogień, ale przez moment tylko, bo zaraz stawały się zimne jak gład.

Stephan jeszcze spał, gdy Mandy z ojcem pojechali nad jezioro, by pomóc w przygotowaniach. Grupa mężczyzn z miasteczka, do której dołączył Dan, zajęła się ustawianiem grillów i układaniem na nich porcji mięsa, a Mandy, wraz z innymi dziewczętami, nakrywała stoły i przystrajała estradę czerwonym, białym i niebieskim materiałem.

Odkąd mieszkał u nich Stephan, był to pierwszy świt, który powitała bez niego. Dotychczas spotykali się co dzień na werandzie, by podziwiać wschód słońca. Jednak trudno byłoby nazwać te spotkania umówionymi randkami - oboje byli po prostu rannymi ptaszkami i zachwycał ich ten sam widok o tej samej porze. Chcąc nie chcąc, musieli się spotykać. Jednak dzisiejszy świt, bez Stephana u jej boku, wydawał się Mandy jakiś niepełny.

Gdy tylko zjawili się nad jeziorem, Lucy Frazer podbiegła do Mandy, jakby właśnie na nią czekała.

- Nie mów tylko, że nie będzie dziś twojego kuzyna.

- Przyjdzie, przyjdzie. Już nie może się doczekać - odparła Mandy, siląc się na uśmiech.

- Wszystkie chcemy go poznać. Carol mówiła, że ma najładniejszy akcent, jaki słyszała. Nic nie szkodzi, że jest Jankesem.

Carol, oczywiście, już wszystko rozpałała.

Słońce unosiło się coraz wyżej nad horyzontem. Zapowiada się cudowny dzień, mimo że, jak zwykle, upał niedługo da się im wszystkim we znaki. W parku nad jeziorkiem było jednak

wystarczająco dużo drzew, by znaleźć trochę cienia, a zresztą mieszkańcy Willoughby byli przyzwyczajeni do upałów. Mieli ze sobą niewiarygodną ilość różnokolorowych napoi i mrożonej herbaty, a także schłodzone arbuzy i zamrażarki pełne lodów własnej produkcji. Woda w jeziorze była tak płytka, że dzieciaki będą mogły jak zwykle chlapać się do woli. Któż by zwracał uwagę na upał w taki dzień.

W miarę jak zbliżało się południe, nad jezioro ściągało całe miasteczko. W powietrzu unosił się zapach pieczonych żeberek, kureczaków i szaszłyków. Mandy czuła, jak coraz bardziej burczy jej w brzuchu. Nic dziwnego - na śniadanie zjadła tylko jednego pączka.

Rozłożyła ceratę w biało-czerwoną kratę na jednym ze stołów. Cały czas starca się czymś zająć, byle tylko nie myśleć o tym, że już niedługo zobaczy Stephana.

-- Mandy, pomożesz mi wciągnąć flagę? - zapytała Susan Bingham. - Na tej linie zrobił się jakiś supeł, czy co?

Mandy podeszła do wysokiego masztu i energicznie pociągnęła za linę. Flaga bez problemów wjechała na szczyt masztu i przez moment zatrzepotała na wietrze w całej okazałości.

- Lina była tylko zaciśnięta - wyjaśniła.

- Twój kuzyn też świętuje Święto Niepodległości? - spytała Susan.

- A czemu miałby nie świętować?

Czyżby jej znajomi domyślali się, że jej gość nie jest Amerykaninem?

- No wiesz... jest przecież Jankesem. A oni mogą mieć jakieś inne święta.

Mandy zamrugła powiekami ze zdziwienia.

- Daj spokój. Oni tak jak i my obchodzą Święto Niepodległości i Święto Dziękczynienia. Tak samo Boże Narodzenie.

Planowała, że choć pobieżnie opowie Stephanowi, co się stało czwartego lipca 1776 roku, żeby wiedział, co właściwie świętuje. Spóźniła się jednak. Gdy wczoraj wieczorem weszła do dużego pokoju, zastała ojca i gościa, pochłoniętych dyskusją na temat historii. Ojciec opowiadał, jak to Amerykanie walczyli o swoją niepodległość, a Stephan zrewanżował się opowieścią o Kastylii,

która kilka wieków temu stoczyła z Anglią swoją wielką bitwę o wolność.

Ciągle jeszcze wydawało się jej, że książę Reynard nie pasuje ani do tego miasteczka, ani do Teksasu, ani w ogóle do Ameryki. Musiała jednak przyznać, że z każdym dniem przystosowywał się coraz bardziej.

Rozkładała właśnie białą-czerwoną ceratę na ostatnim stole, gdy usłyszała znajome głosy.

- Ma-ma, ma-ma! - wołał Josh i pędził ku matce tak szybko, jak tylko zdołał przebierać swoimi krótkimi nóżkami, a pies, radośnie szczekając, biegł u jego boku.

Mandy nachyliła się, porwała chłopca na ręce i zakręciła nim wokół siebie.

- Co powiesz, synku?

- Piknik! - wykrzyknął.

- O! Poznałeś nowy wyraz - zdziwiła się. - Masz rację, urządzamy dzisiaj piknik.

- Tak, piknik! - powtórzył malec i wyciągnął rączkę, wskazując palcem na zbliżającego się Stephana, który szedł przez trawnik w jej stronę, uśmiechnięty i obładowany paczkami.

Gdy położył je na stole, Mandy zapytała:

- To ty go nauczyłeś słowa „piknik”?

- Jest bardzo bystry - powiedział. - Wcale go nie trzeba uczyć. Powtarza wszystko, co usłyszy.

Mandy zauważyła, że z wielką dumą spogląda na chłopca, a w jego oczach pojawiła się czułość. Mandy, jako matka, również była dumna z Josha, jednak w sercu poczuła też strach. Co będzie, jeśli tych dwoje nadmiernie przywiąże się do siebie?

- Tak - przyznała mu rację. - Wszystko łapie w lot. Jakby na potwierdzenie tych słów, Josh wyslizgnął się z jej ramion, podbiegł do psa i zarzucił mu rączki na szyję. Przytulając się do zwierzaka, zaczął coś paplać i jednocześnie wyczekująco popatrywał na matkę.

- Tak, tak, widzę przecież, że przyprowadziłeś Księcia. - Podrapała psa za uchem. - Oczywiście, synku, masz rację. Ja też uważam, że na każdym pikniku powinien być jakiś książę - roześmiała się, a Stephan jej zawtórował.

Albo i trzech, dodała w myślach. Jeden duży, drugi mały i pies. Ale nie odważyła się powiedzieć tego głośno. Poza tym wcale nie była pewna, czy to jest dobry dowcip i czy w ogóle jest się z czego śmiać.

Po chwili dołączyły do nich babcia, matka i Stacy. Przyniosły ogromne czekoladowe ciasto, pokazały misę sałatki ziemniaczanej w sosie musztardowym i sałatkę owocową w polewie makowej.

- Ślinka mi cieknie! - zawołała Mandy. - zaniosę ciasto na stół z deserami.

- A ja przyniosę z samochodu drugi termos z lodami - zaoferował pomoc Stephan.

Mandy poczuła się uszczęśliwiona, kiedy zobaczyła, że Josh poszedł jednak za nią, a nie za Stephanem. Miała nadzieję, że powodem tego nie było jedynie to ogromne ciasto, które niosła przed sobą.

Zauważyła Fanny Walker, która stała, trzymając talerz ze swoją nieszczęsną drożdżową babką. Kiedyś ktoś powinien w końcu powiedzieć Fanny, że drożdżowe ciasta są zwykle wyższe niż pięć centymetrów. Chyba że mają zakalec...

No, ale to nie moja sprawa, pomyśli Mandy i przyjaźnie krzyknęła:

- Cześć, Fanny! Podejź tutaj, możesz postawić swój przysmak obok ciasta Nany.

- Cześć, Mandy! Jak leci? O, Josh! Rośniesz jak na drożdżach. - Fanny kucnęła i objęła chłopca. - Dasz całusa cioci Fanny?

Josh, lekko przestraszony, szeroko otwartymi oczyma pytająco spojrzął na matkę.

Fanny miała sztywne lakierowane włosy, ułożone w jakieś skomplikowane loki, a na ustach jaskrawoczerwoną szminkę, która gdzieś wychodziła poza ich linię. Trzepotała długimi, ciężkimi od tuszu rzęsami i uśmiechną się, ukazując swoje duże końskie zęby. Do tego pachniała czymś przypominającym zapach trutki na mole. Prawdopodobnie nie kojarzyła się Joshowi z nikim, do kogo był przyzwyczajony przytulać się czy całować.

Jednak gdy Mandy przyzwalająco skinęła głową, objął Fanny za szyję, szybko cmoknął w policzek i czym prędzej ją puścił.

- Jest taki słodki - zachwyciła się Fanny.

- Steve! Steve!

Słyszając znajomy głos koleżanki, Mandy rozejrzała się i dostrzegła Stephana. Szedł do nich, niosąc termos z lodami, a Carol, raz po raz z entuzjazmem wykrzykując jego imię, biegła do niego z taką radością, że na jego twarzy pojawił się wyraz paniki. Szybko się jednak opanował i uprzejmie, ale chłodno, przywitał się z Carol, po czym podszedł do Mandy i z wyrazem ulgi na twarzy zapytał, czy wszystko jest już gotowe, by zacząć zabawę.

Tak. Wszystko już było gotowe. Mandy miała wrażenie, że o wszystkim pomyślała i wszystko przewidziała. Okazało się jednak, że nie przewidziała wszystkiego.

Tłum skupił się wokół sceny, a burmistrz Ron Cantrell wziął mikrofon, przywitał wszystkich i zachęcił do wspólnej recytacji tekstu ślubowania wierności amerykańskiej fladze. Mandy nie przyszło do głowy, aby uprzedzić Stephana i wcześniej nauczyć go tego tekstu.

Prawdę mówiąc, i tak wypadł całkiem nieźle, choć musiała dyskretnie chwycić jego prawą rękę i położyć mu ją na sercu, bo przecież sam by nie wiedział, jak powinien wyglądać ten typowo amerykański gest. Poza tym, spóźnił się z recytacją - ciągle był o kilka słów za wszystkimi. Mandy widziała, z jaką uwagą przygląda mu się stojąca obok Susan. Może jednak lepiej byłoby powiedzieć, że Jankesi obchodzą zupełnie inne święta niż oni. Południowcy?

Po ślubowaniu burmistrz zaczął swoje przemówienie, a wszyscy rozsiedli się na ławkach lub po prostu na trawie. Po przeciwnej stronie estrady Mandy dostrzegła Susan, która nachylała się do Pauli i szeptała jej coś na ucho. Paula aż podskoczyła z wrażenia i zerknęła w ich kierunku. Mandy przeczuwała, że teraz całe miasteczko obiegają nowe plotki - już nie tylko o kuzynie Jankesie, który był trochę za bardzo podobny do jej „adoptowanego” syna. Teraz mu na pewno zarzucają, że lekceważy sobie stare amerykańskie tradycje. Pozostawała jej tylko nadzieja, że jednak nie dowiedzą się, kim naprawdę jest mężczyzna siedzący obok niej i trzymający na kolanach jej dziecko.

Niespodziewanie, gdy Stephan przesadzał Josha ze swojego

prawego kolana na lewe, jego goła noga otarta się o jej udo. Nie tylko się otarta, ale i tak pozostała, dotykając ją lekko i łaskocząc jej skórę miękkimi włoskami. Mandy czuła bijące od niego ciepło i przypuszczała, że ją dotykał, bo tego chciał, a jednocześnie wiedział, że i ona tego chce.

Jak to powstrzymać? Wszystko nabierało rozpędu, wydarzenia następowały po sobie w zbyt szybkim tempie, wszystko to leciało na jej głowę jak lawina. A kto umie powstrzymać lawinę?

Dopiero w Ameryce Stephan mógł przekonać się, co znaczy najeść się do syta. Pochłaniał porcje pieczonego na grillu mięsa. Miało chrupiącą, ciemną skorupkę i było polane aromatycznym sosem, tak ostrym, że aż palił usta. Bardzo smakowała mu fasolka rozgotowana na papkę, potem zjadł ostrą sałatkę pomidorową i cierpką sałatkę z owoców, a na końcu delektował się deserami, jakie tylko mógł sobie wyobrazić, choćby taką maślaną szachownicą, która, mimo swojej śmiesznej nazwy, wydała się Stephanowi być ambrozją, o której wspominały greckie mity.

Siedział na ławce pomiędzy Joshem a Naną, naprzeciw Mandy i reszty rodziny. Przed nimi stał pokryty ceratą, suto zastawiony drewniany stolik. Stephan czuł, że zaraz pęknie z przejedzenia. Gdy tylko poruszył się zbyt gwałtownie, czuł na swoich nagich udach ukłucia drzazg z nie heblowanej deski. Wstał więc od stołu, aby trochę się przejść. Niestety, gdy mijał inne stoliki, wszyscy kusili go swoimi smakołykami. „Spróbuj naszej grochówki, Steve! Ta potrawka jest naprawdę pyszna”. No i jak tu się oprzeć?

Obliczył, że na piknik przyszło kilka setek ludzi i większość z nich przyniosła coś do jedzenia. Został przedstawiony przynajmniej połowie z nich, lecz na nic się zdały treningi pamięci - nie pamiętał większości imion. Ludzie siedzieli dosłownie wszędzie - przy stolikach, na kocach, a niektórzy rozłożyli się na trawie. Gawędzili, opowiadali dowcipy, objadali się pysznościami i poklepywali przyjacielsko Stephana, który przechadzał się między nimi. Na tej dziwnej zielonej plaży panował totalny chaos, lecz energia, witalność i życzliwość tych ludzi były wprost zaraźliwe.

Dostał mrożoną herbatę z plastikowego kubeczka. Ten dziwny napój zaczyni mu smakować. Doskonale gasił pragnienie po tych

wszystkich ostrych potrawach.

- Stephan, są jeszcze żeberka - namawiał go Dan.

- Oj, dziękuję, zjadłem już chyba z dziesięć. Były wyśmienite.

- Mam nadzieję, że zanim przyjdzie czas na lody, będziesz znowu głodny - przewidywała Mandy. - Lepiej, żebyś miał apetyt, bo chyba nie będziesz odmawiał, gdy wszyscy zaczną cię częstować. Z tego, co widziałam, stałeś się ulubieńcem tłumu.

- Lody! - wykrzykuj Josh, usłyszawszy nazwę swojego przysmaku.

- Poczekaj trochę. Zjadłeś już co najmniej za trzech małych chłopców.

Josh, śmiejąc się od ucha do ucha, wepchnął w usta kawałek ciasta.

- Mamusia wytrze ci buzię. - Kucnęła koło chłopca. - Masz na sobie wszystko... czekoladę, keczup, truskawki. Jak cię znam, zaraz umażesz się w błocie. Chodź, pójdziemy się umyć.

Stephan spojrzał na małego, który zadarł w górę głowę i posłał mu promienny uśmiech. Rzeczywiście, buzia Joshua była kolorowa od resztek jedzenia. Nawet gdzieś jego włosy były posklejane jakimś czerwonym sosem. Stephana ponownie uderzyło duże podobieństwo chłopca do jego brata. Chociaż...

- Lawrence chyba nigdy w życiu tak się nie umazał - zauważył.

- Josh to nie Lawrence - odparowała Mandy, podnosząc chłopca z ziemi.

Stephan pomyślał, że nieopatrznie wypowiedział na głos swoje myśli.

- Nie chciałem powiedzieć, że to źle... - zaczął wyjaśniać. - Idę z wami.

- Wcale nie musisz.

- Ale chcę.

Minął już tydzień, odkąd był gościem Crawfordów. Był to dobry, ale zarazem i trudny czas w jego życiu. Sporo się tu nauczył, jednak w jego głowie panowało teraz większe zamieszanie niż pierwszego dnia, gdy poznał ich wszystkich. Jeszcze tylko tydzień i będzie musiał ich opuścić. Nadszedł czas, by poważnie porozmawiać z Mandy. Dotychczas ich rozmowy polegały przeważnie na

wymianie grzeczności i przekomarzaniu się o codzienne błahostki. Jednak ciągle było między nimi coś niedopowiedzianego, o czym nie miał sposobności porozmawiać, bo niemal zawsze, gdy ta kobieta pojawiała się w pobliżu, ogarniały go tak silne żądze, że tracił zdolność logicznego myślenia. Może uda się tym razem?

Podążył za Mandy do niewielkiej fontanny, gdzie zmoczyła chusteczkę i poczęła ścierać z Josha zaschnięte plamy - z jego twarzy, włosów, szyi, rączek i nówek. Już chyba łatwiej byłoby go całego wykąpać w fontannie.

- To porównanie do Lawrence'a... - zaczął Stephan.

- Nie miałem nic złego na myśli. Wiadomo, że mój brat był zupełnie inny, ale tak często Josh mi go przypomina...

- Josh, idź do babci - skinęła na chłopca. - Mamusia zaraz przyjdzie.

Chłopczyk pobiegł przez trawę do stolika, przy którym siedziba ich rodzina.

- Nie mów przy nim takich rzeczy. - Mandy zmarszczyła brwi. - Nie jest przecież głuchy i rozumie każde słowo.

- Przecież Lawrence był jego ojcem - zachnął się Stephan. - Dlaczego ma o tym nie wiedzieć? Mandy, chciałbym z tobą poważnie porozmawiać na temat Josha.

Grupka młodzieży ze śmiechem przebiegła obok nich. Mandy, dając znak Stephanowi, by szedł za nią, skierowała się w bardziej odludne miejsce. Uważnie omijała pnącza wystających korzeni, w końcu przystanąła, oparła się o drzewo i z zadumą wpatrzyła się w jezioro.

- Jeszcze nie minęły dwa tygodnie - zaczęła.

- Wiem, ale im szybciej porozmawiamy, tym lepiej.

- O czym? - Spojrzała na niego wyzywająco.

W jej oczach odbijała się zielona trawa. Płomiennorude włosy, potargane wietrzykiem wiejącym znad jeziora, wyglądały jak opadając na ramiona jesienne złote liście. Zacisnęła swoje pięknie zarysowane, pełne usta, a ręce skrzyżowała na kształtnych piersiach. Była uosobieniem tego cudownego, kolorowego i pięknego kraju, który intrygował Stephana równie silnie, jak ta kobieta.

Nagle poczuł w głowie pustkę, a zasób jego słów stał się nie

większy niż Josha. Chrząknął ale nadal nie mógł dobyć głosu. Gdyby nie ten nisko wiszący konar drzewa, który tworzył między nimi naturalną barierę, nie byłoby żadnych przeszkód, by pochwycić Mandy w ramiona. Całe szczęście, że ta gałąź powstrzymywała jego nieopanowane odruchy

- Piknik jest naprawdę udany - zaczął nieśmiało. - Naprawdę mi się tu podoba. Wszyscy są tacy przyjacielscy.

- To prawda.

- Traktują mnie po królewsku, chociaż nic o mnie nie wiedzą. I twoja rodzina... tak ciepło mnie przyjęliście, mimo że macie powody, by nie czuć do mnie sympatii.

- Teksańczycy słyną z gościnności. - Zaśmiała się. - W ten sposób traktujemy nawet wrogów. Gdy już uspimy ich czujność, zapraszamy ich na grilla, by rozchorowali się z przejedzenia lub popalili usta ostrym sosem.

Żart Mandy rozładował napięcie. Stephan poczuł się nieco swobodniej.

- To miasto... i twoja rodzina... Wszystko jest takie inne, niż się spodziewałem - przyznał. - Gdy zobaczyłem umazanego Josha, nie chciałem cię wcale urazić. Po prostu wyrwało mi się to, co przyszło mi na myśl. - Wzruszył ramionami.

- Lawrence był starszy ode mnie o dwa lata - cisnął dalej.

- Gdy był w wieku Josha, nie było mnie jeszcze na świecie, być może dlatego nie pamiętam go umorusanego, ale teraz, patrząc na chłopca, czuję się tak, jakbym widział w nim brata. Szczególnie w jego oczach. Z tym, że Lawrence, nawet jako dziecko, miał takie dorosłe spojrzenie. Zawsze wiedział, co to odpowiedzialność.

- Chcę uchronić moje dziecko przed takim życiem. Wolę, by jak najdłużej pozostał małym, beztroskim chłopcem - powiedziała dobitnie. - Czy ty i Lawrence byliście kiedykolwiek dziećmi? Spróbowaliście kiedyś dziecięcych zabaw?

Stephan oparł się o pień drzewa tuż obok niej i zapatrzył się w nieruchomą tafelę wody. Łatwiej było mu mówić, gdy nie miał przed sobą tych wszystkowiedzących, zielonych oczu.

- Mieliśmy wyznaczony czas na zabawę i wiele z naszych lekcji prowadzonych było w formie gier. Nawet jeśli życie innych dzieci

było szczęśliwsze, nie wiedzieliśmy o tym. Nie żałuje się czegoś, czego się nie poznało.

- Żałuj, że nigdy nie miałeś zwyczajnych rodziców.

W milczeniu rozważał jej uwagę i ciągle nie wiedział, jakich użyć argumentów, by udowodnić jej, że nie ma racji.

Ze wszystkich stron dochodziły ich głosy rozbawionych ludzi - śpiew, krzyki i śmiechy - wszystko to tworzyło jeden głośny zgielek. A oni, schronieni przed tłumem i słońcem, stali w cieniu rozłożystego drzewa i milczeli.

- Rzeczywiście... - Stephan pochylił głowę. - Pamiętam, gdy w nocy była burza, Szahara przybiegła do mojego pokoju, a potem razem biegliśmy do Lawrence'a i ze strachu tuliliśmy się do niego.

W samym środku letniego upalnego dnia Stephan przypomniał sobie chłód, jaki czuł w pałacu i to uczucie ciepła, które udawało się im wytworzyć jedynie wtedy, kiedy tulili się do siebie. Trójka małych dzieci w ogromnym, zimnym pałacu - taki obrazek przywołała mu pamięć.

- Brakuje ci go? - spytała Mandy.

- Jego tragiczna i zupełnie niepotrzebna śmierć była dla nas wielkim szokiem.

- Nie prosiłam, byś wygłaszał pogrzebową mowę - obruszyła się Mandy. - Po prostu powiedz, czy za nim tęsknisz. Jesteś teraz w Ameryce, a tu możesz zapomnieć o obowiązku królewskiej dyplomacji. Czy mój daleki kuzyn Steve nie może mieć zwykłych uczuć i mówić o nich zwyczajnie, tak jak wszyscy inni ludzie?

Zawahał się. Nie wiedział, jak można szczanie wyrażać uczucia, a jednocześnie zachować książęce dostojeństwo. Od dziecka uczono go, jak ukrywać swoje prawdziwe myśli i uczucia. Umiał przywdziewać różne maski - na każdą okazję inną. A ta kobieta nie wymagała od niego niczego oprócz prawdy, tylko tyle i aż tyle.

- Bardzo mi go brakuje... - w końcu przyznał.

- A mnie bardzo brakuje Aleny. Prawdę mówiąc, ona i twój brat mieli ze sobą dużo wspólnego. Żadne z nich nie miało prawdziwej kochającej rodziny, dlatego tak bardzo się do siebie zbliżyli. Lecz gdy szczęście wydawało się bliskie, nagle wszystko się skończyło.

- Ich związek od początku nie miał żadnej przyszłości. Lawrence

znał swoje obowiązki i nie powinien w ogóle tego zaczynać. Od kołyski wpajano nam, że musimy być odpowiedzialni, że cały kraj na nas liczy. Jak byście tutaj powiedzieli? To brudna robota, ale ktoś musi ją wykonać...

- Ale ty przecież wcale nie chcesz tej brudnej roboty, to znaczy tronu i władzy? - Mandy weszła mu w słowo. - Wiem, że Lawrence też tego nie chciał.

- Moje chcenie lub niechcenie nie ma tu znaczenia... - Przesesał dłonią włosy. Nie umiał ukryć zakłopotania, w jakie wprawiała go ta piękna, uparta i... zbyt dociekliwa kobieta.

- Czy Alena chciała zająć w ciążę? - ciągnął. - Na pewno nie była zachwycona dzieckiem w takich okolicznościach, a jednak, gdyby żyła, kochałaby Josha i wychowywałaby go bez względu na przeciwności. Ty zachowałeś się podobnie. Kochałeś swoją przyjaciółkę, więc adoptowałaś jej dziecko, mimo że to zupełnie pokrzyżowało ci plany.

- O nie. Ja świadomie włączyłam Josha do swoich planów. Już wcześniej wiedziałam, że wrócę do rodziny, a to dziecko dodało mi tylko odwagi, by wyrzucić z głowy te wszystkie mrzonki o karierze w wielkim świecie. Chcę go wychować tak samo, jak moi rodzice wychowywali mnie. Nie chcę, by miał takie dzieciństwo jak Alena czy Lawrence. Chociaż czasem winałam twojego brata za to, co się stało, to jednak zawsze całym sercem mu współczułam.

- Proszę, opowiedz mi... - przerwał zdziwiony drzeniem własnego głosu. - No wiesz... o nich.

Odsunęła się od pnia, stanęła przed nim, zmuszając go, by patrzył jej prosto w oczy.

- Dlaczego?

- Chciałbym wiedzieć...

- Ale dlaczego?

Przez kilka chwil patrzyli na siebie w ciszy. Stephan znów doszedł do wniosku, że nic, oprócz prawdy, nie usatysfakcjonuje Mandy.

- Lawrence był moim bratem, a mam wrażenie, że nie znałem go dobrze. Chciałbym wiedzieć, jaki był naprawdę, jak poznał Alenę, co czuł, gdy był z nią, jak tu żył...

To była prawda, choć nie potrafił wyrazić, jak rozpaczliwie pragnął dowiedzieć się czegoś więcej o bracie. Nie zdawał sobie dotychczas sprawy, ile Lawrence dla niego znaczył.

Mandy przyjrzała mu się uważnie, po czym skinęła głową, najwyraźniej przekonana wyrazem błagania, jaki dostrzegła w jego oczach. Stephan czuł, że rozumiała wszystko, czego on nie potrafił wyrazić.

- Spotkali się na zajęciach z poezji. Gdy zaczęli ze sobą chodzić, od razu go polubiłam. Alena była z nim naprawdę bardzo szczęśliwa.

- On z nią też?

- Na pewno. Szkoda, że nie widziałeś ich razem. Wyglądali jak para zakochanych dzieciaków, zachwyconych uczuciem, które zrodziło się między nimi. Myślę, że on już wtedy powiedział jej, kim jest. Potem dowiedziałam się od Aleny, co mówił o tobie, siostrze i rodzicach. Ukryła jednak przede mną to, że był księciem. Przez cały rok byli nierozłączni i nagle on wyjechał.

- Do Nowego Jorku - dodał Stephan. - Musiał stosować się do harmonogramu.

- Alena była całkiem załamana. Wtedy znienawidziłam Lawrence'a. Nie mogłam zrozumieć, jak mógł ją opuścić, skoro tak bardzo ją kochał. Parę miesięcy później Alena wyznała mi, że jest w ciąży.

- Często myślę, że Lawrence, gdyby naprawdę się uparł, to przecież mógłby się z nią ożenić - powiedział Stephan. - Król oczywiście byłby wściekły, ale w końcu jakoś by to przeboleł. Więc dlaczego od niej uciekł?

Właśnie tego chciałby się dowiedzieć. Brat, który zawsze był taki odpowiedzialny i świadomy swoich obowiązków, powinien przecież zainteresować się swoim nienarodzonym dzieckiem i kobietą, którą ponoć kochał. On jednak ich opuścił.

- Alena tak go kochała, że nie chciała, by musiał z jej powodu zrezygnować z tronu. Chciała też uchronić dziecko przed życiem, jakie czekałoby je na Kastylui. Dlatego nie powiedziała mu, że jest w ciąży.

- Jak to, nie powiedziała?

- A widzisz? Aż tak bardzo była przeciwna temu, by jej dziecko

zostało kiedyś księciem, że nikomu nie powiedziała.

Ukryła to nawet przede mną, ale sama się domyśliłam. I dopiero wtedy powiedziała mi, kim naprawdę był Lawrence. Bała się, że on dowie się o dziecku i przez to będą same kłopoty dla niego i... dla dziecka.

Mandy przygrywa wargę, opuściła głowę i lekko pochyliła się do przodu. Po chwili milczenia spojrzała na Stephana z determinacją w oczach. Widocznie postanowiła powiedzieć mu całą prawdę.

- Alena przyznała się rodzicom, że jest w ciąży. I wiesz, jak zareagowali? Zagrozili, że ją wydziedziczą, jeśli natychmiast nie podda się aborcji. Odmówiła i już więcej nie rozmawiała z nimi na ten temat, a oni rzeczywiście odcięli ją od funduszy. I gdy w końcu zdradziła mi swoją tajemnicę, musiałam przysiąc, że nikomu nie pisnę ani słowa. Alena już wówczas nie miała pieniędzy, więc nie stać jej było na lekarza. Dlatego zaniedbała swoje zdrowie i nie kontrolowała ciąży. Przez osiem miesięcy nic korzystała z żadnej opieki lekarskiej. Gdy wraźcie przyznała mi się, jak bardzo źle się czuje, natychmiast dałam jej pieniądze i zamówiłam wizytę lekarską w poradni kobiecej, ale było już zbyt późno. Kiedy zbliżał się termin porodu, zaczęły się poważne komplikacje. Musiałam umieścić Alenę w szpitalu. I wtedy właśnie przeraziłam się i złamałam przysięgę. Przeszukałam jej pokój, znalazłam notatnik z numerami telefonów i zadzwoniłam do jej rodziców i do Lawrence'a. Twój brat przyjechał natychmiast. Natomiast Taggartowie zwlekali z przyjazdem. Zjawili się w ostatniej chwili i już nie mogli jej pomóc.

Mandy głęboko westchnęła i ciężko oparła się o drzewo.

- Resztę znasz - odezwała się po chwili milczenia. - Gdy Alena dowiedziała się od lekarzy, że grozi jej śmierć i zrozumiała, że naprawdę umrze wymogła na twoim bracie przyrzeczenie, że dziecko będzie ich tajemnicą. Zanim przybyli jej rodzice, wszystko już było między nimi ustalone. Ja, na prośbę ich obojga, miałam wychowywać Josha, a Lawrence obiecał Alenie, że powróci do tych swoich ważnych obowiązków państwowych.

Ostatnie słowa wypowiedziała z takim obrzydzeniem, że aż wzdrygnęli się oboje. Stephan milczał i patrzył otępiałym wzrokiem to na Mandy, to na jezioro. Ta historia, zamiast dać mu poczucie, że

lepiej i bliżej poznał brata, pokazała mu jedynie, jak niewiele o nim wiedział. Okazjo się, że nawet przed nim Lawrence musiał przywdziać maskę.

- Znał swoje obowiązki - w końcu wydusił z siebie. - Wiedział, do czego prowadzi nieposłuszeństwo i z odpowiedzialności za swoje państwo.

W jego własnych uszach te słowa zabrzmimy dość dziwnie. Nie wiedział, czy mówi o swoim bracie, czy może raczej o sobie.

Gdy zerknął na Mandy, ich spojrzenia spotkały się. Obserwowała jego twarz, jakby chcąc dociec, czy czasem nie mówi o sobie, ostrzegając ją w ten sposób, że bez względu na to, jak będzie go kusić, nie uda jej się go złamać. Będzie wiemy swoim zasadom dla jej dobra... i dla dobra jego kraju.

- Jak myślisz, czy Lawrence żałował, że ją w ogóle spotkał? - spytała cicho. - Ciekawe, czy chciał cofnąć czas, tak jak ja, gdy wyjechałam do Dallas po dyplom i po pieniądze, a w tym czasie straciłam dziadka i kawałek życia, mającego dla mnie większą wartość niż kariera w wielkim mieście. Gdybym znów miała ten wybór, nie opuściłam rodziny. Zgodzę się, że związek Lawrence'a z Alena stworzył obojgu sporo poważnych problemów, ale czy on choć przez chwilę żałował, że ją poznał? Przecież dzięki niej zrozumiał, czym jest miłość.

Minęła dobra chwila, nim Stephan rozważył to, co usłyszał i dał wymijającą odpowiedź.

- Trudno powiedzieć. Może... Bardzo kochał swój kraj i myślę, że chciałby nim rządzić. Gdyby mógł cofnąć czas i wykreślić z życia te momenty, gdy poniosły go uczucia, a zarazem te miesiące bólu, które przyszły potem, sądzę, że zrobiłby to bez zastanowienia.

Nie żałuje się czegoś, czego się nie poznało, przypomniał sobie. Gdyby jego brat nie pokochał Aleny, nigdy by jej nie stracił. A gdyby Stephan nie stracił brata, nigdy nie dostałby tej trudnej misji - odzyskania syna Lawrence'a. I w jego życie nie wkradłoby się takie zamieszanie, z dnia na dzień coraz większe. Gdyby! Gdyby! Gdyby!

Jednak z drugiej strony nigdy nie spotkałby Mandy Crawford i nie poznałby tego intymnego uczucia przynależności do jej rodziny. Lecz też nie musiałyby smuć się na myśl o tym, że z każdym dniem

zbliża się chwila rozstania, że nadejdzie świt, którego już nie przywita razem z Mandy. Już nie pocałuje jej rozkosznych ust i nie dotknie jej, niby to przypadkiem.

„Nie żałuje się czegoś, czego się nie poznało”.

„Nigdy nie staraj się zapamiętać imienia niańki i nie przywiązuj się do niej, bo jest ona tu tylko na chwilę, a gdy wkrótce odejdzie, nie będziesz za nią tęsknił”. Cały czas starał się pamiętać dobre rady starszego brata.

- Cóż, nie można cofnąć czasu - westchnął. - Musimy pogodzić się zarówno z własnymi wyborami, jak i z tymi, których dokonali za nas inni ludzie. Nie żyjemy tylko przeszłością. Możemy jeszcze wiele zepsuć... lecz też sporo naprawić.

- Tu jesteście!

Zza krzaków wynurzyła się Carol i stanęła obok Stephana.

- Chyba w niczym nie przeszkodziłam? - zapytała.

- Nie, tylko rozmawiamy. Takie tam rodzinne sprawy - odburknęła Mandy.

- Zaraz się zaczną różne konkursy i zawody. Chyba nie chcecie tego przegapić? - Carol wzięła Stephana pod rękę, jakby go znała od lat. - Masz już partnerkę do startowania w wyścigu par? Jak nie, to właśnie znalazłeś. Jestem naprawdę dobra. W zeszłym roku z Rickiem Trusselem zajęliśmy pierwsze miejsce, ale dziś bolą go plecy.

Stephan z błaganiem w oczach spojrzał na Mandy, Nie miał pojęcia, na czym polegał ten wyścig, ale był pewien jednego - nie chce biec z Carol.

- Mnie też bolą plecy... - Zrobił kwaśną minę.

- Ach, ten twój akcent - nie zrażała się dziewczyna. - Powiedz coś jeszcze, to tak zabawnie brzmi.

Mandy, ująwszy jego drugą rękę, zdecydowała się przyjść mu z pomocą.

- Wybacz, Carol, ale mój kuzyn obiecał biec ze Stacy. Wiesz, to taki rodzinny obowiązek, taka tradycja.

Stephan spojrzał z wdzięcznością na Mandy. Puściła jego rękę i wskazała głową w kierunku domu.

- Chodźmy już.

„Nie tęsknisz za czymś, czego nie poznałeś". No tak, a on wciąż czuł dotyk jej dłoni i już teraz tęsknił za nim niemiłosiernie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Mandy, idąc ze Stephanem i Carol w kierunku dużej grupy świętujących ludzi, starała się zachować obojętny wyraz twarzy i ukryć swoje zdenerwowanie. Cały czas zastanawiała się, czy książę naprawdę ją ostrzegął, by wybiła sobie z głowy jakikolwiek z nim związek? A może tylko tak jej się zdawało? Oczywiście, przez myśl jej nie przeszło, że mogliby być razem, ale widocznie uznał, że małe ostrzeżenie nie zaszkodzi.

Jednak troszkę ją to zabolalo.

Podczas tej rozmowy nie tylko lepiej go poznała, lecz też zrozumiała, że pociągają coraz bardziej. Zdała sobie sprawę, że chyba przyzwyczała się do jego obecności, szczególnie na werandzie o świcie, gdy wraz z nią witał budzący się dzień.

No tak, przecież od początku wiedziała, że jest księciem - człowiekiem przywykłym do luksusu i władzy, który swoje obowiązki względem kraju przedkłada ponad wszystko na świecie. Jego starszy brat przynajmniej chciał porzucić książęcy dwór, lecz po prostu nie mógł, a Stephan niczego takiego nawet nie zamierza. Zdawał się uwielbiać swoją wyspę Kastylię i wyśmienicie czuł się, w roli księcia.

Szkoda, że nie chodził już w garniturze i krawacie. Mandy przez cały czas pamiętałaby, kim naprawdę jest ten mężczyzna. Tymczasem, w krótkich spodenkach i bawełnianej koszulce, wyglądał jak zwykły facet. No, może nie taki całkiem zwykły, bo przecież był bajecznie przystojny i jednak miał w sobie coś królewskiego.

Ludzie ustawiali się w dwóch równoległych rzędach. Zaczynała się zabawa z łapaniem balonów. Mandy, Stephan i Carol dołączyli do nich. Prawdę mówiąc, Mandy nie miała teraz ochoty na żadne gry, ale również nie chciała zbyt mocno rozczulać się nad sobą, więc zdecydowała, że jednak dołączy do bawiącego się towarzystwa.

- Mandy!

W drugim rzędzie dostrzegła Stacy, Josha i psa.

- Wybacz, Carol - zwróciła się do koleżanki. - Musimy pomóc mojej siostrze. Widzę, że ma kłopoty z Joshem. Chodź, Steve - rzuciła przez ramię.

Stacy mocno trzymała wierzącego się malca. Gdy podeszli, pilną rękę chłopca, po czym wskazała na stojącego obok nastolatka i rumieniąc się lekko, powiedziała:

- To jest Kyle. A to moja siostra, Mandy i Stephan, nasz... hm... kuzyn z... Nowego Jorku.

Zrobiła się czerwona jak burak. Nie potrafiła kłamać. Całe szczęście. Jednak jej rumieńce nie wynikały jedynie z tego niewinnego kłamstwa. Ich powodem był Kyle. Stacy zawsze miała wielu przyjaciół, zarówno wśród dziewcząt, jak i chłopców. Była nawet na paru randkach, lecz znajomość z Kyle'em zdawała się być trochę inna. Zdradzał to wyraz jej twarzy, jakby bardziej kobiecy niż dziewczęcy, gdy chłopak był w pobliżu. Mandy zdała sobie sprawę, że jej mała siostrzyczka właśnie dojrzeła.

Uśmiechnęła się do zawstydzonej siostry i wyciągnęła dłoń do chłopca. Stephan zrobił to samo.

- Miło cię poznać, Kyle.

Stacy zaczęła wyjaśniać Stephanowi zasady gry.

- Do balonów nalewa się dużo wody, a potem rzuca się je z rzędu do rzędu. Każdy musi złapać balon tak, by nie pękł.

Stephan spojrział niedowierzająco na Stacy.

- Spodoba ci się - zapewniła,

- A co będzie, jak pęknie?

- Wtedy odpadasz. - Stacy zachichotała. - I jesteś cały mokry.

- A jak balon nie pęknie?

- To grasz dalej.

- Myślę, że warto spróbować - skapitulował. Czerwony balon zaczął swoją podróż między rzędami.

W końcu pękł w rękach piątej osoby, oblewając ją całkowicie. Wszyscy gracze i tłum kibiców przywitali pierwszego przegranego burzą oklasków i przyjaznych gwizdów.

- No dobrze - rzeki Stephan. - A co teraz?

- Nie myśl sobie, że to już koniec! - zawołała Stacy z ożywieniem. - Następna osoba bierze nowy balon i rzucamy nim, aż dojdziemy do końca rzędu. Wygra drużyna, w której będzie mniej mokrych ludzi.

- Rozumiem. - Minę miał niepewną, ale pozostał na miejscu.

Gdy trzeci balon, tym razem niebieski, dotarł do osoby stojącej obok, Mandy ustawiła Josha przed sobą.

- Wyciągnij rączki - powiedziała. - Musimy złapać ten balonik.

Chłopak stojący naprzeciwko nich ledwie złapał balon i natychmiast odrzucił go w ich stronę. Mandy przechwyciła go i, nachylając się nad Joshem, pozwoliła mu dotknąć balonu. Chłopiec zapiszczał z radości, a pies szczekną, merdając ogonem. Z niemałym trudem Mandy odbiła prześlizgujący się przez ręce balon do przeciwnej drużyny. Ku jej zaskoczeniu balon powrócił do jej rzędu. Stojący koło niej Stephen ze zmarszczonym od nadmiernego skupienia czołem, pochwyił balon i zdołał go utrzymać, balansując na szeroko rozstawionych nogach. Lecz gdy podbiegł do niego Josh i wyciągnął rączki, chcąc dosięgnąć balonu, niespodziewanie do zabawy wkroczył Książę. Podskoczył i w okamgnieniu chwycił balon... zębami.

Balon dosłownie eksplodował, oblewając wodą wszystkich troje - psa, Josha i Stephana. Troje książąt, pomyślała Mandy i tłumiąc śmiech, klękała przy Joshu, by sprawdzić, czy nic mu się nie stało. Chłopczyk miał oczy szeroko otwarte z przerażenia i już chciał wybuchnąć płaczem, ale słysząc aplauz publiczności, rozchmurzył się i też zaczął się radośnie śmiać i klaskać. Dzięki temu dostał od tłumu jeszcze większe brawa.

- Teraz Josh z Księciem nie przepuszczą żadnemu balonowi - rzekła Mandy. - Lepiej stańmy trochę dalej.

Odeszli i obserwowali zabawę z daleka.

- Było bardzo przyjemnie... - powiedział Stephan, ale w jego głosie nie słyhać było entuzjazmu.

- Nie żartujesz? - Mandy nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

Zastanowił się przez moment i spojrzał na przemoczone szorty.

- Naprawdę mi się podobało - oświadczył i uśmiechnął się. - I teraz jest mi zdecydowanie chłodniej.

Miał cudowny uśmiech. Po raz pierwszy Mandy widziała, jak uśmiechał się całą twarzą. Nawet jego zwykle chłodne oczy wydawały się gorące, jak słoneczne niebo nad ich głowami. Jego pokryta warstewką potu skóra połyskiwała w jaskrawych

plamieniach słońca. Z każdą chwilą coraz mniej przypominał księcia, a coraz bardziej wyglądał jak młody człowiek pełen uroku i męskiego wdzięku. Mandy jednak pamiętała, kim był ten mężczyzna i dlatego pilnowała się, by nie dać się zauroczyć i do reszty nie stracić głowy.

Zabawa w łapanie balonów skończyła się. Ich drużyna przegrała, jako że większość osób w ich rzędzie stała w ociekających wodą ubraniach,

Ludzie zaczęli kierować się do innej części parku. Mandy wzięła za rękę Josha.

- Jaka jest następna gra? - spytał Stephan.

- Teraz będzie bieg tatusiów. Ojcowie, starsi bracia albo kuzyni sadzają sobie małe dzieci na ramiona i biegną do mety. Kto pierwszy, ten wygrywa.

- Co wygrywa?

- No... pierwsze miejsce.

- Aha.

- Każdy, kto biegnie, świetnie się bawi. Nie trzeba od razu wszędzie być pierwszym, żeby dobrze się bawić. - Poklepała go po ramieniu.

Właśnie koło nich przechodził Tom Anton z synem Mattem, rówieśnikiem Josha.

Josh przystanął, spojrzął na chłopca i dotknął palcem jego policzka, jakby w ten sposób witając się z nim. Chłopiec odwzajemnił gest i roześmiali się obaj.

- Cześć, Mandy - uśmiechnął się Tom.

- Serwus. A gdzie zgubiłeś Nancy?

- Jest gdzieś tutaj. Wysłała mnie z Mattem na bieg, a sama siedzi gdzieś w cieniu i raczy się jakimś orzeźwiającym napojem.

Mandy zna Trana i Nancy jeszcze ze szkoły podstawowej, a Josh pamiętał Matta ze żłobka. Nic w tym chyba dziwnego, że Tom podszedł, by powiedzieć jej „cześć”. A może chciał się dowiedzieć, kim był Stephan? Czyżby wszyscy już mieli ich na językach, czy to tylko jej chore urojenia?

- To mój daleki krewny, Stephan. Wpadł do nas na kilka dni. - Nienawidziła okłamywać przyjaciół, ale tym razem nie miała

wyboru.

- Miło cię poznać, Steve. - Bez cienia podejrzenia, Tom wyciągną dłoń. - Biegniesz z Joshem?

- Ja? Raczej nie...

- Lecę już. Do zobaczenia! - Tom rzucił przez ramię.

Gdy dotarli do namalowanej białym wapnem linii, wyznaczającej miejsce startu i metę, Tom nachylił się, podniósł syna i posadził go sobie na ramionach. Na starcie zbierali się już inni uczestnicy. Mieli biec do oddalonego o prawie sto metrów drzewa, okrążyć je wokół i tą samą ścieżką powrócić na metę. Dodatkowym utrudnieniem w drodze powrotnej miało być omijanie wolniej biegnących zawodników.

Josh, widząc Matta na ramionach mężczyzny, zaczął wyciągać w ich kierunku rączkę i paplać coś zazdrośnie.

- Nie, kochanie. Tom nie może wziąć również ciebie - cicho powiedziała Mandy. - Nie udźwignąłby dwóch takich dużych chłopców.

Josh wydawał się niepokieszony. Zerkał w górę na matkę błagalnym wzrokiem, wyciągi do niej rączki i nie przestawał popiskiwać.

- Ja też nie mogę biec z tobą. To zabawa dla młodych chłopców i ich tatu... - Ugryzła się w język. - Dla małych i dużych chłopców, a mamusia jest dużą dziewczynką. Musimy przestrzegać regulaminu.

Ku jej zaskoczeniu, Stephan poderwał chłopca w górę i posadził sobie na ramionach. Mały aż krzyknął z radości i złapał mężczyznę za uszy.

- Mówiłaś, że krewni też mogą brać udział w biegu. Dotyczy to chyba kowboja o imieniu Steve, który jest dziesiątą wodą po kisielu, a dokładniej wujkiem Josha.

Jesteś księciem z innego kraju. Masz kupę pieniędzy i władzę. Wkradłeś się do mojego życia i pewnie przyniesiesz mi same nieszczęścia. Takie myśli huczały w głowie Mandy, podczas gdy Stephan z Joshem ustawili się na starcie wśród dużej grupy zawodników.

Musiła jednak przyznać, że Stephan, uszczęśliwiając jej dziecko, sprawił też i jej ogromną radość. Na próżno zagryzała

wargę, chcąc uciszyć chaos, jaki zapanował w jej głowie.

Wystartowali. Stephan z Joshem biegli w czołówce, choć z pewnością mieliby lepszy czas, gdyby Josh z radości tak się nie wiercił. Jednak radzili sobie nieźle. Mijając Mandy, Stephan posłał jej szeroki uśmiech i mrugnął okiem.

Księżę Kastylii mrugnął właśnie do niej.

- Od razu widać, że są rodziną. - Za plecami Mandy stała Carol z szelmowskim uśmiechem na twarzy. - Ach, prawda. Joshua był adoptowany...

- Tak, był.

Jeśli Carol zaczną coś podejrzewać, to nie spocznie, póki nie odrzebie całej prawdy, rozsiewając przy tym całe mnóstwo plotek.

Po raz pierwszy odkąd Mandy przyjechała z Dallas do domu, nie potrafiła myśleć spokojnie o przyszłości. Bez względu na to, co Stephan zdecyduje w sprawie Josha, czuła, że jej plany i tak są już zrujnowane. A teraz, na domiar złego, znów zaczną interesować się, kto jest ojcem jej dziecka. Czy nadal będzie mogła ukrywać, czym synem jest Josh? A gdy już wszystko wyjdzie na jaw, najbardziej ucierpi Josh, który już nie będzie beztróskim, małym chłopcem, uwielbiającym słodycze, lody i zabawy z psem. Ludzie zaczną traktować go inaczej, jako przyszłego następcę tronu, jak kogoś, od kogo trzeba trzymać się na dystans.

Tłum zaczął wiwatować, gdy pierwsi zawodnicy wydłżyli krok tuż przed metą. Między nimi byli Stephan z Joshem, wymachującym rączkami i wrzeszczącym z zachwytu wniebogłosey. Mandy podskakiwała i cieszyła się jak inni kibice. Nawet bardziej. Z powodu Josha, ma się rozumieć.

Gdy jej synek jako pierwszy przekroczył linię mety, pisnął z radości. Mandy przepychając się przez tłum, ruszyła w kierunku zwycięzców. Wszyscy gratulowali Stephanowi, który tym razem nie umiał ukryć emocji i cieszył się nie mniej niż siedzący na jego ramionach Josh.

Mandy była podekscytowana nie tylko z powodu dziecka. Była szczęśliwa, że to właśnie Stephan wygrał i że tak się z tego cieszył. Przypuszczała, że ogarnęły go emocje, jakich pewnie nigdy dotychczas nie odczuwał. Była dumna, że w jej świecie jest jednak

coś, co może sprawić mu radość.

Widząc rozradowany wzrok Stephana, impulsywnie podbiegła do niego, zarzucając mu ręce na szyję i jednocześnie obejmując Josha.

Gdzieś na dnie jej świadomości wciąż pojawiała się myśl, by zabrać dziecko i uciekać, by zapomnieć o tym człowieku na zawsze. Ale ostrzeżenie to było coraz słabsze, coraz mniej słyszalne.

Choć słońce chyliło się już ku zachodowi, nikt nie zamierzał opuszczać pikniku.

Nana siedziała z psem w cieniu drzewa na niewielkim wzniesieniu nad brzegiem jeziora, gdzie powiewy wiatru były częstsze i chłodniejsze. Mandy, Stephan i Josh postanowili pójść do odległej części parku; gdzie odbywały się różne zawody, gry i zabawy. Szli wąską alejką i dlatego ludzie naciskali na nich ze wszystkich stron, więc Mandy, chcąc nie chcąc, zdana była na kuszącą bliskość Stephana. Chyba mu się to podobało, bo nawet gdy od czasu do czasu tłum się przeredzał, nie próbował odsunąć się od niej ani o krok.

Musiała przyznać, że Stephan był niezwykle bystry i umiał szybko przystosować się do sytuacji, w jakich z pewnością znajdował się po raz pierwszy w życiu. Nie obruszył się nawet na młodzieńca, który nieopatrznie wpadł na niego i wytrącił mu z ręki kubek herbaty, zalewając przy tym cały przód jego białej koszulki. Gdyby miał bywać na piknikach częściej, Mandy powiedziałaaby mu, że lepiej ubierać się na zielono lub na beżowo, a idealny kolor to coś zbliżonego do bursztynowego odcienia herbaty.

Jednak jej rady już nie na wiele mu się zdadzą. Gość za tydzień wyjeżdża, a w tym czasie niestety nie będzie więcej pikników. Na Kastylii księżę znowu powróci do białych koszul, ciemnych garniturów i konserwatywnych krawatów.

Kiedy przyszedł czas na bieg parami, który miejscowi zabawnie nazywali Biegiem Trzech Nóg, Stephan z nie małym zainteresowaniem obserwował przygotowania, popijając mrożoną herbatę. Najwidoczniej nabrał przekonania do tego napoju.

- Powiedziałaś Carol, że pobiegnę ze Stacy - odezwał się do Mandy. - Spójrz tylko, twoja siostra woli chyba kogoś innego.

Mandy spojrzała we wskazanym kierunku. Stacy właśnie przywiązywała swoją nogę do nogi Kyle'a. Rumieńce i uśmiechy na twarzach obojga świadczyły, że nie dbają o wygraną - liczyło się dla nich tylko to, że biegną razem. Poza sobą nie widzieli innych zawodników.

Szesnaście lat - najwyższy czas na pierwszą młodzieńczą miłość, pomyślała Mandy. I gdy tak patrzyła na tę parę, nagle poczuła jakiś drobny żal, jakieś lekkie ukłucie zazdrości, że jej młodość przeminęła o wiele za szybko, że nie zdążyła zadurzyć się w jakimś chłopcu, a już jest dorosłą kobietą i na dodatek matką.

- Nie mamy chyba wyjścia - mówił dalej Stephan. - Musisz biec ze mną.

Co takiego? Pozwolić sobie przywiązać nogę do nogi Stephana? Biec przyciśnięta do jego ciała? Rumienić się tak samo, jak jej młodsza siostra?

Całe jej ciało krzyczało „tak”, lecz umysł wyraźnie się temu sprzeciwiał.

- Muszę pilnować Josha - powiedziała. - Zresztą, gdy mówiłam o tobie i Stacy, chciałam tylko pozbyć się Carol. Wcale nie musisz biec.

- Rozumiem, że to była improwizacja na poczekaniu. - Nagle spojrzał w dół ścieżki. - Czy to nie Carol idzie w tę stronę? Myślisz, że uwierzy w mój chory kręgosłup?

Mandy aż dech zaparło na samą myśl, że Carol mogłaby paradować wzdłuż trasy wyścigu, pokazując swoją zgrabną nogę przywiązaną do nogi Stephana i na oczach wszystkich ocierać się o niego swoimi kształtnymi biodrami.

Stephan był jej gościem i musiała dbać, by nie był narażony na towarzystwo kogoś, kogo nie darzył sympatią.

- Zaraz wracam - wymamrotała. - Zaprowadzę tylko Josha do babci.

Nana ucieszyła się, że może przydać się na coś wnuczce, a Josh był już tak śpiący, że nie protestował. Wyciągnął się na kocu rozłożonym koło krzesła babci, a Księżę położył się koło niego, szczęśliwy, że wrócił jego mały towarzysz zabaw. Starsza kobieta, mały chłopczyk i pies tworzyli razem naprawdę śliczny obrazek.

Mandy, znalazłszy nylonowy sznurek, wróciła do Stephana. Stanka blisko niego... blisko, lecz go nie dotykając... i wstrzymała oddech. Otaczający ich zgiełk wydał się jej jakiś stłumiony, jedyną osobą, którą widziała, był teraz Stephan. Przysunął się do niej o krok i dotknął swoją lewą nogą jej prawej nogi. Mandy usłyszała szybki, głośny oddech - nie była pewna, czy swój, czy Stephana. Przez moment spotkały się ich spojrzenia. Aż nie mogła uwierzyć, że kiedykolwiek jego oczy wydawały jej się lodowato zimne. Teraz bardziej przypomina niebieskie promienie. Były jak teksańskie, sierpniowe niebo, żarzące się nad głowami, bez śladu chmurki.

- Może to nie jest najlepszy pomysł... - powiedziała łagodnie, dając mu ostatnią szansę, by się wycofał.

Chyba jednak byłoby jej przykro, gdyby zrezygnował z biegu.

- Może i nie, ale spróbujmy.

Schylił się i zaczął wiązać sznurek wokół ich złączonych nóg. Lekko musnął palcami jej skórę. Jednak zbyt dbał o zasady, by wykorzystać sytuację i dotykać dłużej, chociaż właśnie jego dotyku Mandy pragnęła teraz najbardziej.

Gdy skończył i wyprostował się, Mandy dostrzegła, że miał rumieńce na twarzy, a na czoło wystąpiły mu kropelki potu. Jej również zdawało się, że temperatura podskoczyła nagle o kilka stopni. Czula jego twarde jak stal mięśnie i ciemne, łaskoczące włoski.

Otoczył ją ramieniem, by złapać równowagę, więc ona go także objęła. Czula ciepło jego mocnej i zarazem delikatnej dłoni, a pod swoimi palcami wyczuwała jego muskularne ciało.

- Jesteś gotowa? - zapytał.

Przytaknęła, choć dałaby głowę, że ani trochę nie była gotowa na taki obrót sprawy. Sędzia wystrzelił na start.

- Naprzód! - krzyknął Stephan i od razu nadał tempo. - Raz, dwa, raz, dwa...

To zdumiewające, ale udało im się manewrować bez upadku. Wiele par miało mniej szczęścia i ku uciesze widowni gramoliły się, usiłując wstać z ziemi.

- Hej, Steve, trzeba było biec ze mną!

Właśnie wyprzedziła ich Carol, biegnąca z Bertem Fentonem. W

głowie Mandy pojawiła się przelotna myśl. Czy Carol rzeczywiście szła do nich parę minut temu? A może Stephan wymyślił to jako pretekst, by mógł biec z Mandy? Biec, dotykać, trzymać ją w objęciach...

Stephan przyspieszył kroku. Niewytrzymująca tempa Mandy wybuchła śmiechem.

- Ty chyba naprawdę chcesz wygrać?

- Raz... a kto... dwa... by nie chciał - wysapał, nie przestając liczyć.

Mimo ich szczerych chęci, w drodze powrotnej nie zdołali ominąć innej pary. Zderzyli się i stracili równowagę. Pierwsza para, przewróciwszy się, szybko powróciła do pionu i kontynuowała bieg. Stephan złapał Mandy i przez chwilę balansując, runął jak długi na ziemię. Przy wiązana do niego Mandy upadła, przykrywając go swoim ciałem.

Przez moment leżeli, obejmując się, i nie mogli opanować śmiechu. Stephan nie przejawiał najmniejszej chęci, aby wstać.

- Przykro mi - wydusiła z siebie Mandy.

- A mnie nie.

Uniosła głowę, aby przyjrzeć mu się uważnie.

- Przegraliśmy wyścig - szepnęła.

- Sama mówiłaś, że ten wygrywa, kto dobrze się bawi.

Koniuszkami palców delikatnie pogładził jej ramię. Czowała, że całe jej ciało rytmicznie pulsuje w odpowiedzi na bicie serca Stephana, które waliło jak oszalałe.

118

- Ja bawię się świetnie, a ty? - Jego głos stawał się coraz bardziej ochryply.

- Ja też - wyszeptała.

Trawa, na której leżeli, była skoszona dzień wcześniej, więc czuła jej świeży aromat pomieszany z męską wonią Stephana. Zapach ten przenikał ją na wskroś, pobudzając zmysły. Pod biodrem, którym opierała się o niego, wyczuła rosnące podniecenie mężczyzny, które z każdą chwilą ogarniało i jej ciało.

- Chodźmy już... - jęknęła z wysiłkiem.

Stephan położył obie ręce na jej plecach i przesunął je aż do

talii.

- Musimy iść? Dlaczego nie możemy tu zostać dzień lub dwa?

W jego oczach płonęło pożądanie. Mandy jak zahipnotyzowana wpatrywała się w iskierki tańczące w jego źrenicach. Stephan Reynard, książę Kastyliei, który przybył do nich w garniturze, białej koszuli i krawacie, leżał teraz na ziemi, a ona na nim! Zachichotała. Pewnie w tym momencie przypominała swoją młodszą siostrę. Czuła się tak jak Stacy... ożywiona i zupełnie opanowana przez te nowe uczucia.

- Jeśli zaraz się nie podniesiemy, to ktoś pomyśli, że coś nam się stało i przyjdzie nam pomóc - ostrzegła go Mandy.

- No, to wstajemy. Na razie.

Obietnica zawarta w jego słowach tylko wzmogła jej podniecenie. I znowu, głęboko w pokładach jej świadomości, zapaliło się czerwone światełko, ostrzegające ją przed tym człowiekiem. Jednak dotyk jego rąk i tego czegoś, co coraz mocniej uciskało jej biodro, wzmogły w niej dreszcz emocji i nie pozwalała myśleć o konsekwencjach.

Usiłując wstać, niezdarnie gramolili się na trawie. Mandy pomyślała, że mieliby znacznie ułatwione zadanie, gdyby rozwiązali sznurek... lecz skoro on o tym nie wspominał, ona milczała również. Z każdym ruchem musieli się o siebie ocierać, a to tylko zagęszczało atmosferę... Dopiero gdy wstali, Stephan schylił się, by zdjąć sznurek z ich nóg. Tym razem jego palce dotyka jej skóry nieco dłużej niż wymagało tego rozwiązanie supełka. Wzrok Mandy zatrzymał się na jego szyi, gdzie pod skórą widać było nabrzmiałą żyłę, w której krew pulsowała tak, jakby miała zaraz wytrysnąć. Pomyślała, że zaraz sama eksploduje z żądy, jaką wyzwolił w niej Stephan.

Kiedy sznurek opadł na ziemię, jeszcze przez moment nie ruszyli się z miejsca, stojąc bardzo blisko siebie. Stephan ujął jej rękę i lekko uściskał.

- Wracaj już. Ja muszę chwilę poczekać... aż ochłonę.

- Uśmiechną się z zakłopotaniem. - Wolę, aby inni nie zauważyli, że aż tak na mnie działasz...

Początkowo Mandy nie rozumiała, o co mu chodzi, lecz zaraz przypomniała sobie, że coś twardego uciskało jej biodro, gdy leżała

na nim, i gwałtownie zarumieniła się.

- Ach, prawda... więc idę do Josha... - wyjąkała, rumieniąc się coraz bardziej.

- Przejdę się trochę, a potem, wracając, przyniosę coś do picia. Coś zimnego dobrze nam zrobi po tym biegu.

- Hm... dobrze... coś zimnego. - Musiała odchrząknąć. - Zaraz podadzą lody.

Dotknął opuszkami palców jej policzka i odszedł.

Ciągle jeszcze oszołomiona Mandy wolno poszła w kierunku miejsca, gdzie zostawiła Nanę i Josha. Księżę, witając ją głośnym szczekaniem, zbudził dziecko. Mandy wzięła malca na ręce i usiadła na kocu.

- A gdzie Stephan? - spytała Nana.

- Och... poszedł... po mrożoną herbatę. - Poczuela, że znów się czerwieni.

Czy Nana coś odgadła? Zawsze była taka spostrzegawcza. Czy wyczytała coś z drżenia jej głosu i rumieńców na twarzy? Gdy Mandy była dzieckiem, wierzyła, że babcia umie czytać w myślach.

- Czy to nie dziwne? - znów odezwała się Nana, a Mandy zamarła. - Na początku nawet nie chciał spojrzeć na mrożoną herbatę, a dzisiaj wypił jej chyba cały galon. Łudzić się zmieniają. A skoro już mowa o zmianach... jak ci się podoba kawaler Stacy?

- Jaki kawaler? Ach, Kyle! Jest miły. Ale to jeszcze dzieciak. Oboje są tacy młodzi.

Nana zachichotała.

- Byłam trzy lata młodsza od Stacy, kiedy poznałam twojego dziadka - wyznała. - Przeniósł się do Willoughby latem, tuż przed końcem wakacji. Pamiętam, że byłam ubrana w nową, różową sukienkę z falbankami, którą mama uszyła mi na rozpoczęcie roku szkolnego, a włosy miałam uczesane w długie loki. Wtedy byłam jeszcze blondynką. - Uśmiechnęła się.

Mandy przez moment zobaczyła w niej tamtą małą dziewczynkę. Oderwała wzrok od uśmiechniętej twarzy Nany i rozejrzała się wokoło.

Cienie drzew już dawno się wydłużyły i ludzie, rozrzucając się po całym parku, wydawali się coraz bardziej znużeni, poruszali się

wolniej i rozmawiali dużo spokojniej.

W pobliżu ich koca, tuż nad brzegiem jeziora, które w tym miejscu było najgłębsze, siedzi- chłopak, może trochę młodszy od Kyle'a, i bawił się kamykami, rzucając je ukosem do wody.

Wspaniały dzień dobiegi końca. Serce Mandy ścisnął żal, gdy patrzyła na babcię, na jej zmarszczki i siwe włosy. Zdawać by się mogło, że za tą zasłoną lat, ciągle kryje się tamta mała dziewczynka, płasząca w różowej sukience z falbankami.

- Eldon mówił potem, że podobno wpadłam jak burza do klasy - wspominała dalej Nana. - Ja uważałam, że normalnie weszłam, ale on ciągle powtarzał, że wpadłam... Mniejsza o to. Mówił, że jak mnie wtedy zobaczył, to od razu wiedział, że się ze mną ożeni. No i potem rzeczywiście tak zrobił.

Młody słyszała tę historię wiele razy, ale nigdy nie była nią znudzona. Wiedziała, ile te wspomnienia znaczą dla Nany, jak lubi powracać do starych, dobrych czasów, które trwały ponad pięćdziesiąt lat i zakończyły się tak nagle dwa lata temu... gdy odszedł dziadek.

Josh począł się wiercić i Mandy zdała sobie sprawę, że przytula go zbyt mocno.

- Książę! - zawołał chłopczyk, gdy tylko uwolnił się z ramion matki.

Podbiegł do psa i zaczęli wyprawiać swoje zwykłe harce na trawie.

Mandy wzięła rękę babci w swoje dłonie. Po raz pierwszy zauważyła, że palce staruszki są krzywe i spuchnięte w stawach.

- To nic wielkiego - rzekła Nana, jakby czytają w myślach wnuczki. - To tylko reumatyzm.

- Ale chyba możesz tymi rękoma nadal piec swoje pyszne ciasta?

- No pewnie.

Obie kobiety parsknęły śmiechem.

Tuż obok nich zaszczeka Książę i nagle dał się słyszeć głośny plusk. Mandy zdążyła tylko pomyśleć, że to pewnie pies wskoczył do wody za kamieniem, rzuconym przez siedzącego na brzegu chłopca. W tym momencie zza krzaków wyłonił się Stephan.

- Joshua! Stój!

Przeżona Mandy odwróciła się i zobaczyła, jak jej synek bez zastanowienia skacze za psem - prosto w najgłębsze miejsce jeziora.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Stephan upuścił trzy kubki z napojem i rzucił się pędem w kierunku brzegu jeziora. Jednym susem wskoczył do wody w miejscu, gdzie zniknął Joshua. Poczuł, że ogarnia go panika, gdy rozglądając się i na oślep przeczesując wodę rękoma, nie mógł odnaleźć chłopca.

Musi przewyciężyć panikę. Życie Josha zależało od jego umiejętności zachowania spokoju.

Kątem oka dostrzegł, że do wody wskoczył ktoś jeszcze.

Zanurkował, lecz nic nie widział poprzez mętną wodę. Wyplύν^ na powierzchnię, by zaczerpnąć powietrza. Obok siebie usłyszał szczekanie. To Księżę wynurzył się z głębiny i zniknął ponownie. Stephan dał nurka za psem... i nagle zamajaczył mu przed oczyma szamocący się bezradnie malutki kształt. Przez głowę przemknęła mu dziwna myśl, że pies przez resztę swojego życia powinien codziennie dostawać pyszną pieczeń. Mandy miała rację - w tym mieszańcu na pewno płynie królewska krew.

Gdy Stephan podpływał do Josha, widział, jak z każdą sekundą ruchy chłopca stawały się coraz słabsze. Czy nie będzie za późno? Nie chciał nawet myśleć, że mógłby stracić swojego bratanka. Wreszcie udało mu się schwycić malca. Jedną ręką przycisnął do siebie jego nieruchome ciało, a drugą silnie odgarniał wodę, usiłując wydostać się z głębiny.

Wyplύνęli. Stephan nabrał w obolałe płuca powietrza i machając wolną ręką jak wiosłem, począł płynąć do brzegu, gdzie las wyciągniętych rąk już czeka, by przejąć Josha. Poczuł grunt pod stopami.

- Jestem lekarzem! - ktoś krzyknął i usiłował przedrzeć się przez tłum gapiów. - Z drogi!

Stephan natychmiast oddał chłopca i patrzył otepiały na zabiegi lekarza.

- Joshua!

Z jeziora wynurzyła się Mandy. To pewnie jej skok do wody dostrzegł Stephan. Pomógł jej wyjść na brzeg i przytulił ją z całych sił. Oboje bezsilnie patrzyli, jak lekarz miarowo uciska klatkę piersiową chłopca. Mandy płakała, Stephan również miał łzy w

oczach, ale nikt tego nie zauważył, bo woda kapiała mu z włosów i zalewała całą twarz. Księżę złożył głowę na łapy i patrzył to na chłopca, to na panią, skomle cichutko.

Lekarz wdmuchiwał powietrze w płuca dziecka.

Joshua zakaszłał i wypluł sporą porcję wody. Głęboko odetchnął, począł kwilić jak zraniony ptaszek, a wreszcie ryknął przeciągłym płaczem.

- Dzięki Bogu!

Mandy uklękła na piasku obok niego.

- Niech sobie spokojnie pooddycha. - Lekarz odsunął kobietę i wziął chłopca na ręce. - Miałeś szczęście. Teraz zobaczymy, czy wszystko z tobą w porządku.

Badał go na stole pokrytym biało-czerwona, umazaną keczupem ceratą, a Mandy starca się uspokoić swojego wrzeszczącego synka.

Stephan stał bez ruchu. Nigdy w życiu nie przeżył takiego szoku. Jeśli Crawfordowie, zapraszając go do siebie, mieli na celu nauczenie go odczuwania emocji, musiał przyznać, że odnieśli pełny sukces.

Nie zdawał sobie sprawy, jak ważny jest dla niego syn Lawrence'a, dopóki go prawie nie stracił. Nie chciał nawet myśleć, co by się stało, gdyby... Chyba oddałby własne życie, by uratować Josha. Ale równie ważna stała się dla niego matka chłopca. Utkwiła mu głęboko w sercu. Okazało się, że Mandy potrafiła wyzwolić w nim taką samą pasję, jaką nosiła w sobie. Ta jej pasja zaintrygowała go już podczas ich pierwszego spotkania.

Czy będzie w stanie z powrotem okiełznać swoje emocje? A może nie warto?

Przyciągną Mandy bliżej do siebie. Czuł dotyk jej drżącego ciała. Gdyby mógł, wziąłby cały jej ból na siebie. Gdyby mógł, uszczęśliwiłby ją i Josha. Lecz nie mógł. Przeciwnie - to on skomplikował ich życie. Jedyne, co mógł zrobić, to wyjechać stąd jak najszybciej. Jeśli naprawdę zależało mu na tych ludziach, powinien czym prędzej wynieść się z ich życia.

Lekarz skończył badanie i powiedział:

- Połóżcie małego do łóżka. Jutro będzie zdrow jak ryba. Pewnie przez jakiś czas będzie bał się wody, lecz za kilka tygodni o

wszystkim zapomni.

Mandy wzięła Josha na ręce. Chłopiec nie przestawi płakać. Widocznie ciągle był w szoku.

- Pozwól mi go wziąć - Stephan zaoferował pomoc. - Hej, malutki, siadaj mi na ramiona i biegniemy!

Posadził go sobie na karku. Chłopcu widocznie spodobało się to, bo płakał coraz ciszej, a w końcu tylko sporadycznie pociągał nosem.

Stephana zalała fala radości. Potrafił powstrzymać płacz dziecka!

Mandy klepnęła Josha w mokrą pupę i spontanicznie przytuliła się do Stephana.

- Dziękuję - szepnęła, zdobywając się na uśmiech. - Dziękuję za uratowanie naszego Josha.

Poczuł dziwny ogień, wybuchajmy mu w piersi. Mandy nie tylko podziękowała mu, ale też powiedziała „naszego” Josha. Uznawała więc, że on też ma prawo do dziecka, że on też jest ważną osobą w życiu Josha. Był zdumiony, ile radości dało mu to jej jedno słowo.

- To Księżę zasługuje na podziękowanie - odrzekł nieco zakłopotany. - Płynąłem za nim i to on zaprowadził mnie prosto do Josha.

Mandy pogłaskała mokrą głowę psa.

- Chodźmy do domu. - Ujęła rękę Stephana. - Jestem taka zmęczona...

Do domu. Do jej domu, nie jego. Za swoim domem nie tęsknił, ale trzeba było wracać. I to jak najszybciej. Tutaj coraz bardziej tracił kontrolę nad sobą.

Mandy wciąż jeszcze nie spała, choć była już północ. Dość miała przewracania się z boku na bok, więc narzuciła na siebie szlafrok i zeszła na dół. Może spokój letniej nocy udzieli się także jej i będzie mogła zasnąć.

Zeszła po schodkach werandy prosto w ciemność. Od razu wyczuła, że na podwórku był jeszcze ktoś. Pomyślała, że to musi być Stephan, choć dopiero po chwili dostrzegła jego postać. Siedział na ławce.

- Też nie możesz zasnąć? - zapytał.

Potrząsnęła głową. Stephan posunął się, robiąc jej miejsce obok siebie. Zawahała się. Powinna wziąć sobie jedno ze składanych krzeseł. Przecież nie może tak zwyczajnie koło niego usiąść. Gdy w końcu przycupnęła na brzegu ławki, otoczył ją ramieniem i przytulił do siebie. Wiedziała, że to co robią jest szalone, ale nie potrafiła się oprzeć.

- Jestem wykończona. Powinnam zasnąć natychmiast, a tu nic z tego.

- Ja też nie mogę spać.

Siedzieli w ciszy przez kilka minut. Zewsząd dochodził chór koników polnych pomieszany z rechotem żab i od czasu do czasu dało się słyszeć niesamowite pohukiwanie sowy.

Mandy zamknęła oczy, upojona spokojem tej teksaskiej nocy, lecz bliskość Stephana powodowała napięcie w całym jej ciele.

- Bardzo się bałem o Josha - szepnął Stephan.

- Chyba się do niego przywiązałeś... Przez dłuższą chwilę nie odpowiadał.

- Tak, stał się dla mnie kimś naprawdę szczególnym - rzekł w końcu.

Mandy nie wierzyła, że po tym wszystkim, co się stało, Stephan nadał będzie nalegał, by zabrać Josha na Kastylię. Lecz teraz już nie chodziło tylko o dziecko... Czuła, że z każdym dniem ciągnie ją do niego coraz bardziej. Na pikniku zachowywali się jak para kochanków, śmiejąc się, rozmawiając i nie szczędząc sobie czułych dotyków. Teraz rozumiała, dlaczego Alena nie mogła oprzeć się Lawrence'owi, mimo że wiedziała, iż jest to związek bez przyszłości.

Okazjo się także, że księżę Stephan, o wyniosłym i chłodnym usposobieniu, jest jednak pełen uczuć... do swojego brata, do Josha, no i do niej, choć nadal sprawiał wrażenie, że okazywanie emocji wciąż go przeraża, że wołałaby mieć swoje uczucia pod kontrolą.

Stephan spojrział na nią, uniósł rękę do jej policzka i delikatnie zwrócił jej twarz ku swojej. Przez moment zatopił wzrok w jej spojrzeniu, jak gdyby szukając w nim przyzwolenia na to, co za chwilę miało się zdarzyć.

Zamiast odwrócić głowę, odsunąć się i uciekać, jej wargi rozchyliły się lekko, a on pochylił głowę i ustami dotknął jej warg.

Długi pocałunek Stephana doprowadził do wrzenia całe jej ciało, sprawiając, że zapragnęła go całego. Czuła na swojej piersi bicie jego serca i chciała zatracić się bez reszty, pozwalając, aby poniósł ją ten szalony rytm.

Tak jak Alenę.

Ostatnim wysiłkiem woli oderwała usta od jego warg.

- Niedługo wyjeżdżasz? - spytała, gdy tylko odzyskała oddech.

- Tak.

Jego głos zabrzmiał miękko i ciepło.

- A Joshua?

- Zostaje z tobą - powiedział. - Miałaś rację. Nie możemy skazywać go na to, co przeżyłem ja i Lawrence. Z tobą jest naprawdę szczęśliwy. Za parę lat, gdy będzie starszy, damy mu szansę poznać kraj jego ojca. Jeśli będzie chciał, to nauczy się naszych zwyczajów, pozna obowiązki i wtedy sam zdecyduje, czy chce odziedziczyć tron.

Mandy skinęła głową. To było więcej niż się spodziewała. Więc dlaczego czuła się tak, jakby miała jakąś wielką ranę w sercu? Bo to znaczyło, że Stephan wyjedzie na zawsze, że nie poczuje już jego dotyku i nie ujrzy letniego nieba w jego uśmiechniętych oczach.

- Kiedy wyjeżdżasz?

- Myślę, że jutro - rzekł ze smutkiem w głosie. Mandy zerwała się z ławki.

- Lepiej już pójść do łóżka. Jeśli się nie wyśpię, będę jutro ziewać w kościele.

- Więc, dobranoc, Mandy.

- Dobranoc.

Weszła do domu, który od zawsze był jej schronieniem, gdzie czuła się kochana i bezpieczna. Jednak teraz przepełniała ją jakaś dziwna nicość, tak jak wtedy, gdy odszedł jej ukochany dziadek. Czuła się opuszczona i samotna.

Stephan siedział nadal przed domem Crawfordów. Nie było sensu iść do pokoju. I tak by nie zasnął.

Zacisnął dłonie. Dopiero co dotykał nimi gładkiego policzka Mandy. Do licha! Jak mógł się w to wplątać? Sam sobie jest winien. Już rozumiał, co przeżywał jego brat. On przynajmniej nie musi opuszczać, tak jak Lawrence, swojego dziecka.

W samą porę zdecydował się wyjechać.

Wiatr przyniósł nagle tę samą woń, którą poczuł pierwszego wieczoru w gościnnym pokoju Crawfordów. Tak pachniała Mandy - zmysłowo, słodko i dziko, jak cały ten kraj.

Tym razem to nie on jest opuszczany przez najbliższą mu osobę. Musi wyjechać, bo mu na niej za bardzo zależy.

Bo ją kocha.

Nie wiedział, jak i kiedy stał się pewny swojego uczucia, lecz wiedział, że było prawdziwe.

Wcale nie wyjeżdża w samą porę. Zdał sobie sprawę, że już w momencie, gdy po raz pierwszy ujrzał Mandy w kuchni Crawfordów, było za późno na odwrót.

Tuż przed świtem Stephan powłókł się do pokoju. Z rezygnacją zaczął pakować walizki.

Będzie tęsknił. Za tym niezwykłym, ciepłym domem, za tymi prostodusznymi ludźmi, którzy przyjęli go tak serdecznie, jak nikt dotychczas. I za Mandy. Będzie śnił o słońcu w jej włosach. O zieleni drzew w jej oczach.

Za oknem pojawiły się pierwsze promienie słońca. Na schodach usłyszał znajome kroki Mandy. Zaczął się jego ostatni dzień w domu Crawfordów.

Tego ranka Mandy pozostała w łóżku dłużej niż zwykle. Wolą, by ominął ją codzienny rytuał powitania słońca w towarzystwie Stephana. Przecież to już dzisiaj gość wyjedzie i wszystko będzie jak dawniej.

Ale najwyższy czas, by zacząć ten trudny dzień.

- Dzień dobry - rzekła, wchodząc do kuchni.

- Dzień dobry - jak echo odpowiedział Stephan, który pojawił się w drzwiach tuż za nią.

Miał na sobie długie, eleganckie spodnie i białą koszulę. W jego stroju brakowało wprawdzie marynarki i krawata, lecz i tak nie przypominał już tego beztroskiego młodego mężczyzny w szortach, jakim był wczoraj.

- Witaj! - wykrzyknął Dan. - Masz ochotę pojechać z nami do kościoła?

- Obawiam się, że nie mogę przyjąć tego zaroszenia - odrzekł

Stephan zdławionym głosem. - Postanowiłem wyjechać jeszcze dzisiaj.

W pokoju zapanowała cisza. Nawet Josh umilkł na moment.

Mandy, wiedząc od wczoraj o planach Stephana, myślała, że już nic nie może pogłębić jej i tak wielkiego przygnębienia. Jednak to formalne oświadczenie Stephana spowodowało, że poczuła w swym sercu prawdziwe uczucie rozpaczy.

- A co z Joshem? - zapytał Dan.

- Myślę, że u was będzie mu najlepiej - powiedział Reynard. - A gdy podrośnie, wspólnie obmyślimy mu plan wizyt na Kastylii.

Dan zerknął na córkę. Mandy lekko skinęła głową na znak aprobaty.

- To brzmi rozsądnie - rzekł ojciec. - Ale przecież nie musisz tak się spieszyć. Możesz u nas zostać tak długo, jak tylko zechcesz.

- Liczyłam na to, że zainstalujecie z Danem te nowe wentylatory - powiedziała Nana i mrugając okiem do gościa, dodała: - A bez twoich pysznych mrożonych ciast znów będę musiała sama piec.

Zbity z tropu Stephan chrząknął.

- Niestety, muszę wracać do kraju. Król czeka na prezentację wyników mojej misji. Już się spakowałem.

Z każdym jego słowem Mandy coraz trudniej było dusić cisnące się do oczu łzy.

Zagwizdał czajnik. Rita wzięła się do parzenia herbaty, a siedzący za stołem Dan rozłożył gazetę i zaczął uważnie ją przeglądać.

- Spójrzcie na to zdjęcie! - wykrzyknął. - Chyba nie będziemy mieli przez to kłopotów...

Wszyscy wbili wzrok w gazetę. Był tam reportaż z pikniku i kilka kolorowych zdjęć. Na największym z nich byli... Stephan z Joshem na ramionach i zapatrzona w nich Mandy.

Stephan pochylił głowę, czytają nagłówek.

- „Ojciec ratuje tonące dziecko”.

- Co takiego?! - krzyknęła Mandy. - O Boże! Wszystko zacznie się od nowa!

Ktoś zapukał do drzwi. Przez chwilę wszyscy zastygli w bezruchu.

Stephan domyślił się, że to stanowcze pukanie mogło pochodzić jedynie od przedstawiciela mediów.

- Ja otworzę. - Dan powoli wstał z krzesła. Stephan ruszył za nim do drzwi.

- Pozwól, że ja to zrobię - rzekł. - Na pewno chodzi im o mnie. Ktoś musiał mnie rozpoznać na zdjęciu.

- Pójdę z tobą. - Mandy wytarta ścierką ręce.

- Zostań, proszę - zaprotestował Stephan. - Wierz mi, tak będzie lepiej.

Z impetem rzuciła ścierkę na stół.

- Nie, to ja tu mieszkam. Wcześniej czy później będę musiała stawić im czoło.

Miała rację. Stephan za kilka godzin wyjedzie, a ona będzie musiała tu żyć - narażona na plotki, które pewnie będą mnożyć się jak grzyby po deszczu.

Razem podeszli do drzwi. Czują jego rękę na swoich plecach, jakby chciał wesprzeć ją ten ostatni raz.

Przez szklane drzwi dostrzegli młodego mężczyznę z notatnikiem i piórem w dłoniach. Z kieszeni jego koszuli wystawał dyktafon.

- Dzień dobry - powiedział. - Jestem Garrison Randolph z tygodnika „Willoughby News”. Czy mogę zadać państwu kilka pytań? Chodzi mi o wczorajszy wypadek na pikniku.

- Nie teraz - odparła Mandy. - Właśnie idziemy do kościoła.

- Wszystko już zostało opisane - dodał Stephan. - Joshua Crawford wpadł do jeziora, goniąc psa. Gdy to zobaczyłem, wskoczyłem za nim i wyciągnąłem go na brzeg. Nikomu nic się nie stało. Pan wybaczy, ale właśnie zaczynamy śniadanie...

Jednak reporter nie zamierzał odejść.

- Czy to prawda, że ten mężczyzna jest ojcem pani dziecka?

- Ależ nie! - Mandy krzyknęła wzburzona. - Joshua jest adoptowany.

- Nie jestem jego ojcem. - Stephan potrafił zachować spokój. Miał doświadczenie w kontaktach z prasą i wiedział, że wzburzenie na nic się nie zda. - Jestem po raz pierwszy w tym kraju i mogę to udowodnić - dodał. - Przepraszam, ale nie mamy więcej czasu.

Młodzieniec zamrugał oczyma i odwrócił się, by odejść. Odetchnęli z ulgą. Mieli problem z głowy.

Niestety, nie.

Przed ich dom właśnie podjechała furgonetka z wymalowanym logo - Dallas TV. Z samochodu wyskoczyła młoda dziennikarka z mikrofonem i ekipa obsługująca kamerę.

Stephan trzasnął drzwiami, odcinając się od nieproszonych gości. Mandy przygryzła wargę.

Rozległo się kolejne pukanie do drzwi.

- Proszę odejść - powiedzie głośno Stephan. - Jemy teraz śniadanie.

- Czy to prawda, księżę, że przybył pan tutaj po swoje nieślubne dziecko?

Stephan zamknął oczy i otarł dłonią pot z czoła.

- Wybacz, Mandy. Teraz już nic nie będzie tak jak dawniej, zanim tu przyjechałem.

W otwartym okienku nad drzwiami pojawiła się twarz Garrisona Randolpha.

- Mamy w Willoughby księcia? A z jakiego kraju? Czy to znaczy, że mały Joshua też jest księciem?

Zadzwoił telefon.

Stephan zamknął okno, a Mandy podniosła słuchawkę. Nagle na jej twarzy pojawił się grymas przerażenia. Stephan wyciągnął rękę po słuchawkę. Gdy tylko przyłożył ją do ucha, rozpoznał skrzekliwy głos pani Taggart.

- ... ma znaczyć to zdjęcie?! Jak śmiesz nazywać naszego wnuka swoim synem? On jest księciem, a ty jakąś biedną dziewczyną, nędzarką! Cała twoja rodzina to hołota mieszkająca w rozsypującej się ruderze!

Stephan poczuł gorąco napływające mu do twarzy. Jego ręka zacisnęła się na słuchawce tak mocno, że jeszcze trochę, a by ją skruszył. Nigdy nie lubił Taggartów, ale to, jak traktowali Mandy i jej rodzinę, doprowadziło go do szału. Matka Aleny nie przestawała.

- Wytoczmy ci proces i odbierzemy...

- Dość tego! - wybuchnął Stephan.

Po ciszy, jaka zapanowała w słuchawce, mógł poznać, że pani

Taggart zabrakło tchu ze zdumienia. Z pewnością rozpoznała jego akcent

- Jeśli tylko pomyślicie o procesie przeciwko Crawfordom lub zrobicie cokolwiek innego, by ich skrzywdzić, moja rodzina was zrujnuje. Wtedy osobiście dopilnuję, żebyście stracili wszystko, co macie i tak was oczernię, że nie będziecie mogli przejść bez wstydu ulicą. Jeśli jeszcze raz do nich zadzwonicie, gorzko tego pożałujecie.

Z trzaskiem odłożył słuchawkę. Emocje. Z pewnością już umiał je wyrażać. Ciekawe, po jakim czasie znów nauczy się je ukrywać. I czy to w ogóle było możliwe?

- Napędziłeś im niezłego stracha - zaśmiała się Mandy.

Stephan również zdobył się na uśmiech.

- Teraz musimy stawić czoło dziennikarzom - rzekł. - Myślę, że najrozsądniej będzie powiedzieć im całą prawdę.

Intruzi za drzwiami robili się coraz bardziej natarczywi.

- Książę Stephanie, czy pana pobyt tutaj ma coś wspólnego ze śmiercią pańskiego brata? Czy przybył tu pan tylko po swego syna?

Stephan podszedł do drzwi.

- Proszę dać nam kilka minut - odezwał się głośno. - Zaraz będziemy mogli porozmawiać.

Wziął Mandy za rękę i poprowadził ją do dalszej części pokoju. Nie chciał, by stojący za oknem ludzie słyszeli ich rozmowę.

- Oni nie odejdą, nim me dostaną tego, czego chcą - szepną. - Zostańcie w domu. Ja wszystko im powiem.

- To znaczy co?

W jej oczach było błaganie, by uratował ich rodzinę, tak jak wczoraj Josha.

- Prawdę - westchnął. - Jeśli nie powiem im prawdy, nigdy nie dadzą wam spokoju. Przykro mi. Nie chciałem ściągnąć na was tych kłopotów.

- Trzeba było o tym pomyśleć, zanim tu przyjechałeś.

- Nie sposób było przewidzieć, że moja misja tak się skomplikuje. Miała być śmiesznie prosta.

Rozległo się natarczywe pukanie do drzwi i usłyszeli kolejne głośne pytanie dziennikarki:

- Czy matka chłopca wyjedzie z panem na Kastylię? Poczul się

tak, jakby otrzymał cios w splot słoneczny.

Spojrzał przenikliwie na Mandy.

- Wyjedziesz? - powtórzył jak echo.

Nagle wzdrygnął się na samą myśl, że mógłby wsiąść do samolotu bez niej, że nie czułby jej ciepła w swoim zimnym pałacu. Zaprzagnął już zawsze mieć ją przy sobie. Nie myślał teraz o całej masie kłopotów, jakie spadłyby na nich, gdyby ją zabrał. Jakkolwiek byłyby duże, nic nie mogło być gorszego niż samotność i puste dni bez Mandy. Lecz wiedział, jak bardzo była przywiązana do rodziny. Może zgodzi się choć na krótką wizytę, choć na kilka dni...

- Wyjedź ze mną na Kastylię - powiedział, patrząc jej w oczy. - Tam przeczekaasz, aż ucichną tutejsze plotki.

W oczach Mandy dostrzegł oznaki walki, jaka toczyła się w jej sercu. A więc, jeszcze nic straconego, pomyślał uradowany. Widocznie chciała z nim jechać.

- Nie mogę - wyszeptła, kręcąc głową. - San widzisz, jakie zmiany niesie życie. Stacy dorasta, babcia się starzeje, ojciec chce iść na emeryturę... gdybym tu kiedyś wróciła, zastałabym zupełnie inny świat, tu jest mój dom i moja rodzina, tu czuję się bezpieczna. Muszę być z nimi, bo ich kocham.

- Ja też cię kocham, Mandy.

Ze zdumienia nie mogła dobrać głosu, a Stephan był nie mniej zdziwiony niż ona. Nie spodziewał się, że będzie miał odwagę wypowiedzieć te słowa.

Uniósł rękę do policzka Mandy i pogładził jej aksamitną skórę. Nie widział ludzi stojących w pokoju, nie słyszał zgiełku dobiegającego zza drzwi i okien - teraz istniała dla niego tylko ona.

- Nie wierzyłem, że potrafię naprawdę kogoś pokochać - mówił cichym szeptem. - Ty skruszyłaś mój pancerz, pokazałaś, że nie muszę więcej nosić masek. Ty nauczyłaś mnie rozpoznawać i wyrażać uczucia. Teraz wiem, że cię kocham... i Josha... i całą twoją rodzinę. Potrzebuję cię, byś pokazała mi, jak mam sobie radzić z tą miłością.

Mandy pochwyciła jego dłoń.

- Ja też cię kocham, Stephanie.

Jej dotyk i słowa rozpały żar w jego piersi. Jednak smutek w jej

oczach przywołał go do rzeczywistości.

- Ale nie mogę z tobą wyjechać - dodała, spuszczać wzrok.

Skinął głową i zacisnął szczęki, aż zagrody mięśnie jego twarzy.

- Rozumiem.

Nagle poczuł się jak pięcioletnie dziecko, od którego odchodziła kolejna niania. A matka, grożąc palcem, potrafiła go tylko upomnieć, że księżę nie powinien płakać.

Pochylił się i dotknął ustami policzka Mandy. Na twarzy poczuł muśnięcie jej włosów.

- Na mnie już czas - powiedział. - Idę do dziennikarzy. Gdy wrócisz z kościoła, już mnie tu nie będzie. Zatrzymam się w hotelu, aż do odlotu. Gdyby nachodzili was dziennikarze, daj im mój adres. Ja wszystko załatwię.

Przez dłuższą chwilę nie mogli oderwać od siebie wzroku. Stephan wiedział, że jeśli kiedykolwiek spojrzy na zieleń drzew lub trawy, zawsze będzie myślał o oczach Mandy.

Wreszcie odwrócił się i wyszedł przed dom.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

W powietrzu czuć było już jesień. Wciąż jeszcze było ciepło, a na drzewach tylko gdzieniegdzie pojawiły się żółte liście, jednak dało się zauważyć, że lato odchodzi. Z każdym dniem słońce wstawko minutę lub dwie później i coraz wcześniej zapadał zmierzch.

Mandy siedziała na najwyższym schodku werandy i raczyła się poranną filiżanką kawy. Ostatnio zaniechała oglądania wschodu słońca - wychodziła na werandę, gdy złota kula była już nad horyzontem. Może na wiosnę wróci do ceremonii witania dnia o świcie, lecz teraz nie była w stanie delektować się tym widokiem. Wschodzące słońce zbyt przypominało jej o istnieniu dalekich łądów. Na jednym z nich żył teraz Stephan...

Odkąd wyjechał, dzwonił do nich w każdą niedzielę. Prosił do telefonu po kolei wszystkich członków jej rodziny, łącznie z Joshem, który zaczął już wypowiadać całe zdania.

Stephan mówił, że musi przejmować coraz więcej obowiązków, gdyż jego ojciec podupada na zdrowiu. Na szczęście - dodawał - może liczyć na wszechstronną pomoc swojej siostry, która, jak twierdził, doskonale nadawałaby się do rządzenia państwem, ale przecież...

W jego słowach dawało się wyczuć mocne przekonanie, że przecież pewnego dnia wszystkie obowiązki i tak spadną na nowego króla... Joshuę.

Rozmowy te czasami były nad wyraz sztywne. Stephen zawsze pytał ich najpierw o zdrowie, a następnie o pogodę... Cóż, starał się za wszelką cenę utrzymać kontakt z następcą tronu. I to wszystko.

Mandy usłyszała skrzypnięcie drzwi. Przez sekundę wstrzymała oddech, spodziewając się Stephana. Nie mogła pozbyć się tej nierealistycznej mrzonki, że on tutaj nadal jest.

- Dzień dobry, kochanie.
- Witaj, babciu.

Starsza kobieta usiadła na schodku obok wnuczki i przez kilka chwil obie siedziały w ciszy. Koło domu przejechał samochód. Mandy drgnęła.

- Ciągle myślę, że czeka nas kolejna przeprawa z dziennikarzami

- odezwała się. - Nie potrafią uszanować czyjejś prywatności.

- Mamy to już za sobą - pocieszyła ją Nana.

- Wiem, ale chodzi mi o Josha. Chcę, by miał normalne, szczęśliwe dzieciństwo. A niektórzy traktują go tak, jakby był dzieckiem z innej planety.

- Nie ma czym się zamartwiać. - Nana objęła Mandy ramieniem.

- Jakoś to będzie.

- Masz rację. Wszystko zaczyna wracać do normy. Ale nie jej serce, w którym pozostała jedynie pustka.

- Nie wszystko będzie jak dawniej - westchnęła babcia. - Tęsknisz za nim?

Mandy pospiesznie wstała.

- Dlaczego mnie o to pytasz?

- Bo znam cię tak dobrze jak siebie. Nie martw się, pewnego dnia pojawi się ktoś i pokoloruje twój świat.

- Tak, wiem...

Nie była tego taka pewna. U swojego boku nie potrafiła wyobrazić sobie nikogo, oprócz Stephana. Pragnęła, by to on ją obejmował, dotykał, całował...

- Stephanowi zależy na tobie - ciągnęła Nana. - Widziałam, jak na ciebie patrzył.

- I co z tego. On nie jest zwykłym facetem, który wstaje rano i idzie do pracy. Jest księciem i ma te swoje państwowe obowiązki.

- Miał taki smutek w oczach, gdy się żegnaliście. Już myślałam, że zabierze cię ze sobą, jak tego Kopciuszka z bajki.

- Ale ty jesteś romantyczna, babciu - westchnęła Mandy. - Owszem, chciał, żebym z nim wyjechała. Mówił, żebym na Kastylii przeczekała, aż ucichną plotki. Lecz nie mogłam się na to zgodzić.

- A to dlaczego?

- Tu jest moje miejsce na ziemi. Kocham ten dom i... was wszystkich.

Babcia uśmiechnęła się lekko.

- Korzystając z książęcego konta Stephana, mogłabyś odwiedzać nas co tydzień.

Mandy pokręciła z rezygnacją głową.

- Właśnie to, że ma on pieniądze i że jest księciem, to dwie

największe przeszkody. Pamiętasz, jak nieszczęśliwi byli Alena i Lawrence? Oboje mieli aż nadto na koncie w banku i co im to dało?

- Ależ, kochanie, to nie pieniądze unieszczęśliwiły Alenę. Jej rodzice byli chciwi i nikczemni także wtedy, gdy nie mieli złamanego grosza. To nie pieniądze są brudne, ale ich serca.

Mandy wylała na trawę resztki zimnej już kawy. Trudno jej było przyjąć argumenty Nany, choć brzmiały całkiem logicznie.

- Stephan nie ma frontowej werandy - powiedziała, zmieniając temat. - Gdy mi to wyznał, poczułam dla niego współczucie. Czy to nie śmieszne, by współczuć komuś, kto ma pięćdziesięciopokojowy pałac bez werandy?

- Powiesz mi, dlaczego nie wyjechałaś z nim na Kastylię? - nie dawała za wygraną Nana.

- Zdarzyło się tu wiele złego, gdy mieszkałam w Dallas. Umarł dziadek...

- Przesadzasz. - Babcia ujęła dłoń wnuczki. - Działy się też dobre rzeczy. Darryl ożenił się z Lindą, urodził się Josh. A dziadek by umarł bez względu na to, czy byś tu była, czy nie. Miał nadciśnienie i nie mogłabyś mu pomóc.

- Wiem. Ale mogłabym przynajmniej być z nim do końca jego dni.

- A cóż by to zmieniło? Przy Aleniu byłaś do końca i co, było wam łatwiej?

- Gdybym cię, babciu, nie znała, dałabym głowę, że próbujesz mnie namówić na wyjazd z domu.

- Wreszcie się domyśliłaś. Powinnaś była wyjechać, skoro Stephan cię o to prosił.

- Ale tu jest mój dom. - Mandy była coraz bardziej zakłopotana. - Potrzebuję was wszystkich. Zresztą, nigdzie nie chcę wyjeżdżać.

Nana puściła rękę wnuczki, wzięła swoją filiżankę ze schodów i oparta się o poręcz.

- Szkoda, że nie znałaś mojej babci. To właśnie dla niej mój dziadek zbudował ten dom.

Mandy odetchnęła z ulgą. Nana zacznie teraz opowiadać kolejną historię z przeszłości, zostawiając na boku temat Stephana i jej wyjazdu do niego.

- Babcia Langston pochodziła z Atlanty. Jej liczna rodzina znana była w towarzystwie i dlatego ona często bywała na różnych przyjęciach. Gdy mój dziadek przyjechał do Atlanty w interesach, poznał młodziutką Langston na balu. Po kolejnych dwóch spotkaniach dziewczyna zgodziła się wyjść za niego za mąż i wyjechać do Teksasu. Bardzo kochała swoją rodzinę i barwne towarzyskie życie w dużym mieście, lecz miłość do mężczyzny była silniejsza. W tamtych czasach nie było szybkich samochodów i autostrad, więc mogła odwiedzać Atlantę tylko raz w roku. Mówiła, że nigdy nie przestała tęsknić za swoim rodzinnym domem, lecz ani razu nie pożałowała tego, że zamieszkała z moim dziadkiem w Willoughby.

Mandy zrobiła kwaśną minę. Po raz pierwszy opowieść Nany, zamiast ciepła i radości, wlała do jej serca niepewność i zamieszanie.

- Ależ, babciu, Stephan proponował tylko tyle, bym u niego przeczekala plotki i całą burzę wokół sprawy Josha, którą zapewne wywołają dziennikarze - powiedziała cicho. - Potem już o tym ani razu nie wspomniał.

- Gdyby jeszcze raz...

- Nie robi tego - przerwała Mandy.

- Gdyby jeszcze raz cię o to poprosił, chcę, byś coś wiedziała. Tak naprawdę nie jest ważny ani dom, ani ziemia, na której stoi, lecz liczą się ludzie, którzy dzielą z tobą życie. Bez nich każdy dom będzie pusty i zimny, jak pałac Stephana. I ten sam pałac może stać się pełnym miłości domem, jeśli zamieszkają w nim kochający się ludzie. Jeśli ty i Stephan kochacie się, możecie mieszkać wszędzie i wszędzie stworzycie ciepły rodzinny dom.

Przez resztę dnia w głowie Mandy dźwięczały echem słowa Nany. Babcia miała rację, ale ona wolała nie myśleć o opuszczeniu domu.

Pałac wydawał się Stephanowi jeszcze zimniejszy niż przed wyjazdem do Ameryki, noce były jakby dłuższe, a wykrochmalone koszule, które nosił do garnituru, coraz bardziej go uwierały.

Był październik. Na Kastylii dawno zapomniano o lecie. Robiło się coraz chłodniej i wszyscy spodziewali się srogiej zimy. Stephan odłożył słuchawkę, skończywszy cotygodniową rozmowę z rodziną

Crawfordów. Żył od niedzieli do niedzieli, kiedy to wieczorem łączył się z dużym, starym domem po drugiej stronie oceanu. Przez te kilka chwil, gdy słyszał głos Mandy, zapominał o dzielącej ich odległości.

- Rozmawiałeś ze swoją teksaską panną?

Stephan podniósł wzrok na siostrę, która właśnie weszła do pokoju i rozsiadła się niedbale na zabytkowej czerwonej sofie. Nie wyglądała na księżniczkę - miała na sobie dżinsy i grubą koszulę w kratę. Od dawna nie przestrzegała, z wyjątkiem szczególnych okazji, zasad dworskiego ubierania się.

- Tak, rozmawiałem z Mandy, ale też z Joshem, Danem, Ritą, Naną i Stacy. Pewnego dnia zamienie kilka słów z Księciem. .. ich psem.

- Skoro mowa o psach, to czy wiesz, że odkąd wróciłeś do domu, zachowujesz się jak małe szczenię, które zgubiło się w lesie?

Stephan wziął ze stojącej obok komody okazałą, zdobioną złotymi wzorami wazę. Nie miał pojęcia, ile była warta, ale pewnie więcej niż cały dom Crawfordów. Mógł roztrzaskać ją o marmurową posadzkę i nikt nie robiłby mu z tego powodu wyrzutów. Jednak dom Crawfordów to coś więcej niż waza i bogactwo. Oni mieli to, za czym tęsknił i czego pragnął - szczęście i miłość. Zalała go fala tęsknoty do tego szczególnego miejsca w Teksasie.

Odstawił wazę na miejsce.

- Trafna uwaga, siostrzyczko - przyznał, uśmiechając się lekko. - Najwidoczniej nie jestem w formie i nie wiem, co z tym zrobić.

- Jedź do niej. Pamiętasz? Nigdy się nie poddawałeś. Stephan wstał ze swojego niewygodnego, drewnianego krzesła i z góry spojrzął na siostrę.

- Wiesz, Szaharo, czasami masz rację.

- Zawsze mam rację - poprawiła go. - Dlatego jestem taka pomocna w rządzeniu tym krajem.

Wyszedł z dużego pokoju, pustego mimo wielu wytwornych ozdób, wypełniających jego każdy metr kwadratowy, i znalazł się w szerokim, równie pustym holu.

Wiedział, że Mandy nigdy nie zechce tu zamieszkać. Była tak wrośnięta w teksaską ziemię, jak jeden z tych dębów, rosnących przed jej domem.

Zatrzymał się przed drzwiami biblioteki ojca. Musi porozmawiać z nim o kolejnej podróży do Ameryki. Pragnie jeszcze raz zobaczyć Mandy. Ale po co? Znowu zaprosi ją na Kastylię, może weźmie ją w ramiona, może pocałuje... W ten sposób tylko rozjątrzy ranę, która nie zdążyła się zagoić.

Zapukał i nie czekając na zaproszenie, popchnął ciężkie drzwi. Król podniósł głowę znad biurka pełnego książek i na jego widok momentalnie opuścił ją ponownie. Stephan zdążył jednak zauważyć zaczerwienione oczy ojca, jakby dopiero co przestał płakać. Czy król dostał jakiejś alergii? Może to przez tę stęchliznę, którą czuć było w pokoju. To był zapach tych wiekowych, oprawionych w skórę książek, które wypełniony pokój od podłogi po sufit.

- Ojcze, proszę cię o rozmowę.

- Nie teraz. - Głos króla załamał się.

Stephan przeszedł przez pokój i stanął naprzeciwko barczystego człowieka, który zawsze wydawał mu się wszechpotężny. Po raz pierwszy zauważył, że włosy króla są dużo rzadsze na czubku głowy, a zaciśnięte na poręczach fotela dłonie pełne zmarszczek.

- Czy wszystko w porządku, sir?

- Oczywiście. A teraz, proszę, wyjdź. Nikogo tu nie zapraszałem.

Stephan zawahał się. Przyzwyczajony był natychmiast wykonywać polecenia króla. Dotychczas robił to prawie automatycznie. Ale nie teraz. Wystarczająco długo przebywał w Ameryce, żeby przyswoić sobie inne zachowania. W domu Crawfordów wszystkie pokoje stały dla nich otworem, a jeśli padały jakieś polecenia, to wydawane były z miłością.

- Wybacz, ojcze. - Stephan cofnął się o krok. - Już wychodzę. Chciałem ci tylko powiedzieć, że planuję kolejną podróż do Teksasu.

Gdy król zwrócił twarz w stronę syna, ten wyraźnie ukazał smutek w jego zaczerwienionych oczach.

- Ojcze, ty płakałeś... - wyjąkał, nie mogąc ukryć szoku.

Przez moment obydwaj milczeli.

- Mój starszy syn nie żyje - cicho odezwał się ojciec.

- Ciężko to znieść, nawet dla króla.

- Czy płakałeś z powodu śmierci Lawrence'a? - zapytał.

- Brakuje ci go?

- A co, myślałeś, że nie mam uczuć?

- Tak właśnie myślałem - odrzekł Stephan zdławionym głosem. - Czy nie tego uczyłeś Lawrence'a, Szaharę i mnie? Żeby nie mieć żadnych uczuć?

- Monarcha nie może sobie pozwolić na uczucia. Rządzenie krajem wymaga rozumu, a nie serca. - Król westchnął. - Ale to nie takie proste. Odejdź, proszę. Innym razem porozmawiamy o podróży, którą planujesz.

- Ojczy, mam jeszcze tylko jedno pytanie. Czy ty i królowa kiedykolwiek kochaliście swoje dzieci?

- Czy was kochaliśmy? - Głos ojca przez moment złagodniał. - To chyba oczywiste...

Król sięgnął po butelkę brandy i nalał sobie pokaznego drinka. Rozmowa była zakończona.

Do Stephana dotarło, że jego rodzice zmarnowali wszystkie lata jego życia. On, Lawrence i Szahara nie mogli zaznać miłości, bo miłość nie idzie w parze z królewskimi obowiązkami. Postanowił, że odtąd nie straci już ani minuty.

Musi wyjechać stąd jak najszybciej. Bez względu na to, co powie król.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Podasz mi osiemnastkę? - poprosił Dan, a Darryl, ze stosu narzędzi rozsypanych na podłodze łazienki, wybrał odpowiedni klucz.

Mandy patrzyła na ojca i brata, zmagających się z cieknącą rurą. Przez ostatnie lata cały dom wymagał ciągłych napraw i przeróbek, utrzymujących go w stanie jako tako nadającym się do mieszkania.

- Wszystkie te rury trzeba by wymienić - powiedział Darryl.

- Masz rację, jak przejdę na emeryturę, będę miał czas, by wziąć się za generalny remont.

Starszy mężczyzna kucnął pod zlewem. Mandy zamyśliła się. Rozmowa z Naną wciąż nie dawała jej spokoju.

- Tato, chyba nie zamierzasz spędzić reszty swego życia na remontowaniu tego domu? - odezwała się.

Dan z synem przyjrzeni się jej uważnie.

- Jesteś jakaś markotna, gołąbeczko. - Ojciec zerknął na zegarek.

- O, do licha! Już dziewięta, musimy otwierać sklep.

- Ja mogę ci pomóc, a Darryl niech jedzie.

Mandy zamieniła się z bratem miejscami i kucnęła obok ojca.

- Dużo o tym myślałam. Naprawdę uważam, że ten dom wymaga od nas zbyt dużo wysiłku.

- Nie jest tak źle - mruknął ojciec. - Parę lat pracy na pełny etat i będzie jak nowy.

- Nie lepiej go sprzedać i kupić nowszy? Z klimatyzacją, z centralnym ogrzewaniem...

Dan odkręcił wodę, upewnił się, że rura nie przecieka i wstał, skupiając swoją uwagę na córce.

- A teraz powiedz, kochanie, co cię trapi.

- Chodzi mi o to, że wszystko się zmienia. Może powinniśmy się dostosować do tych zmian?

- Do jakich?

- Babcia ma kłopoty ze schodami, a Stacy za rok wyjedzie do szkoły z internatem. I po co nam te wszystkie pokoje? Wystarczyłby nam mniejszy domek, taki jak te w południowej części miasta. Zamiast harować od rana do nocy, moglibyście wreszcie trochę odpocząć.

A ona nie musiałaby na każdym kroku potykać się o wspomnienia związane ze Stephanem. W nowym domu nie byłoby werandy, na której witali świt, drzew, które były świadkami ich pocałunku i kuchennego stołu, ponad którym spotykały się ich spojrzenia. W nowym domu łatwiej byłoby jej zapomnieć o Stephanie i tych kilku dniach lata spędzonych z nim tutaj.

Ojciec przyglądał się jej przez dłuższą chwilę.

- Hm, nie wiem, co powiedzieć. Musimy chyba zrobić rodzinną naradę. - Położył dłoń na jej ramieniu. - Wybacz, muszę jut pędzić do sklepu.

Mandy westchnęła.

- Ładnie dzisiaj. Wezmę Josha na spacer.

- Zostań dziś, proszę, w domu. Chciałbym, żebyś odebrała pewną przesyłkę.

- Przecież będzie Nana.

- Mówiła, że idzie do fryzjera,

- W porządku, mogą zostać. - Wzruszyła ramionami.

Jeśli naprawdę mają się stąd wyprowadzić, musi dobrze zapamiętać to miejsce - każdą deskę, każde źdźbło trawy i każdą zgrzytającą rurę.

Do jedenastej nie było żadnej przesyłki. Nana jeszcze nie wróciła, Kyle zabrał Stacy na spacer, a matka z Joshem wzięli Księcia do weterynarza. Mandy, przygotowując się do lekcji na następny tydzień, siedziała samotnie na ławce przed domem.

Uniosła głowę, gdy przed bramę zajechał samochód. W pierwszym odruchu chciała wbiec do domu i zaniknąć za drzwiami na klucz. Miała dość dziennikarzy. Przypomniała sobie jednak, że to może być przesyłka, o której mówił ojciec.

Z samochodu, od strony kierowcy, wysiadł wysoki mężczyzna. Przez moment Mmidy poczuła szybsze bicie serca. Do licha! Czy w każdym wysokim facecie zaraz musi widzieć Stephana? To był zwyczajny tutejszy kowboj. Miał kapelusz z szerokim rondem, niebieskie dżinsy i kraciatą koszulę. W słońcu błyszcziała ogromna sprzączka jego paska i czarne, skórzane buty.

Wstała z ławki, gdy nieznajomy skierował się w jej stronę. W cieniu kapelusza nie mogła dostrzec jego twarzy. Gdy był już blisko,

nagle zerwał nakrycie z głowy i złożył przed nią przesadnie niski ukłon w staroświeckim stylu.

- Witam szanowną panią!

Mandy nie wierzyła własnym oczom.

- Stephan! - wykrzyknęła z radością w głosie.

Przez moment przypatrywała się jego twarzy. To właśnie tę twarz widziała w swoich snach i to właśnie przez te sny czuła tak ogromną pustkę, gdy się budziła.

- Nie spodziewałam się ciebie... - zdołała z siebie wykrztusić. - Chcesz mrożonej herbaty?

- Nie, dziękuję - rzekł gość. - Chciałem ci zrobić niespodziankę, wiem, że jesteś w domu sama. Tak to ustaliliśmy.

- To oni wiedzieli, że przyjeżdżasz? - Mandy otworzyła szeroko oczy. - Dlatego tata tak bardzo się spieszył.

- Chciałem pomówić z tobą bez świadków.

Czy ponownie zaprosi ją na Kastylię? Czy powinna tym razem się zgodzić?

- Hm, co do dziennikarzy, to miałaś rację. Dostali to, co chcieli i zostawili nas w spokoju. Zresztą, mówiliśmy już o tym przez telefon. - Speszona, zamilkła.

- Możemy usiąść? - Stephan wskazał ławkę. Cofnęła się o krok i usiadła. Usiadł obok, dotykając jej swoim udem. Choć pachniał jakimś innym mydłem, jego woń zabarwiona była dobrze jej znaną, męską nutą. Dziewczyne zalały wspomnienia ostatniego lata.

- Tęskniłem za tobą. - Stephan przerwał ciszę.

- A ja za tobą...

- Teraz rozumiem, dlaczego nie chciałaś stąd wyjechać. Miała mu już powiedzieć, że zmieniła zdanie, że zaledwie kilka godzin temu sama namawia ojca na kupno nowego domu.

- Nie jestem zbyt dobry w mówieniu tego, co czuję - ciągnęła dalej. - Ale chcę, żebyś coś wiedziała.

Znowu w jego błyszczących oczach dostrzegła odbicie teksaskiego nieba. Pomyślała, że ta częśćka jej kraju pozostanie z nim na zawsze.

- Mówiłem, że mój ojciec podupadł na zdrowiu i coraz więcej obowiązków spada na mnie. Pewnego wieczoru, gdy wszedłem do

jego biblioteki, zastałem ojca w strasznym stanie. Pił brandy i płakał. Mówił, że to śmierć Lawrence'a tak go załamała. Wprost nie mogłem uwierzyć, że moi rodzice też mają uczucia, że nas kochają, choć zawsze to tak skrętnie ukrywali.

- Czy to nie straszne całe życie chodzić w masce? - Zachnęła się Mandy.

- Masz rację. Zmarnowali swoje życie i część naszego. I wystarczy, nie chcę popełniać ich błędów. Powiedziałem im, że nie będę królem. Chociaż ojciec tego nie pochwała, moja siostra z przyjemnością zajmie się rządzeniem.

Przerwał i ujął jej rękę.

- Mandy, kocham cię całym sercem - powiedział, patrząc jej prosto w oczy. - Chcę zamieszkać z tobą w Teksasie.

Przez chwilę Mandy nie wierzyła własnym uszom.

- Naprawdę...? Chcesz się tu przeprowadzić?

- Zdaję sobie sprawę, że tytuł książeący to nie to samo, co jakiś popłatny zawód, ale jakoś sobie poradzę. Zawsze chciałem być architektem. Marzyłem, by budować piękne, nowoczesne domy w swoim kraju, więc mogę to robić tutaj, poczynając od modernizacji waszego domu.

Cały świat zawirował przed oczyma Mandy. Jej wyobraźnia zaczęła pracować na Wysokich obrotach, zasypując ją kolorowymi obrazami przyszłości.

- Zaczekaj... Czy ja dobrze słyszę? - Uniosła w górę drżącą rękę.

- Chcesz zamieszkać tutaj, w Teksasie?

- Jeśli i ty tego chcesz.

- Tak... oczywiście... - szepnęła. - Ale zdażyłam już poradzić ojcu, by sprzedał ten dom i kupił nowy.

- W porządku, jeśli uznacie to za słuszne. Jednak możemy sprawić, że ten będzie wyglądał jak nowy.

Czy to możliwe, żeby Mandy mogła mieć wszystko naraz? Rodzinę, dom i Stephana? Chciało jej się śpiewać, tańczyć i krzyczeć z radości.

- Rozmawiałeś o tym z moim ojcem? - zapytała. - Mówiłeś, że wiedzie o twoim przyjeździe.

- Musiałem najpierw poprosić go o twoją rękę.

Nie wiedziała, czy ten staroświecki pomysł Stephana obrażał ją, czy raczej jej schlebiał. Po namyśle wybrną to drugie.

- I co na to ojciec?

Stephanowi zaschło w gardle. Z trudem przełknął ślinę.

- Powiedział, że cieszyłby się z takiego zięcia, ale decyzja należy do ciebie.

- A mówiłeś mu, że chciałbyś zamieszkać w Teksasie?

- Uznałem, iż stosowniej będzie zaczekać z tym, aż usłyszę twoją odpowiedź.

Stephan zsunął się z ławki i uklęknął przed dziewczyną na trawie.

- Kocham cię, Mandy Crawford. Czy zgodzisz się zostać moja żoną?

Jej świat będzie pełen radości i miłości, jak nigdy przedtem. Stephan Reynard chciał z nią spędzić resztę swego życia, Już nie będzie czuła pustki, od której usychało jej serce.

Uśmiechnęła się. Nagle wybuchła płaczem, potem znowu śmiechem.

Stephan ze zdumieniem obserwował jej reakcję.

- Ach, te emocje - szepnęła zawstydzona, gdy doszła do siebie. - Gdy raz nami zawładną, trudno je potem zmusić do posłuszeństwa.

Zbliżyła rękę do jego twarzy. Opuszkami palców pogładziła go po policzku, ciesząc się na samą myśl, że będzie miała całe życie, by poznawać go coraz dokładniej.

- Tak - oświadczyła. - Zostanę twoją żoną.

Twarz Stephana rozpromieniła się jak niebo pod wpływem słońca wynurzającego się o świcie zza horyzontu. Porwał ją w ramiona, pocałował radośnie i namiętnie zarazem, a ona poddała mu się bez cienia sprzeciwu. Pomyślała z ulgą, że już nigdy nie będzie musiała tłumić swojego pożądania.

Odchyliła się do tyłu i pocałowała go w policzek.

- Czy już ci mówiłam, jak bardzo cię kocham?

- Nie przypominam sobie.

Na moment zrobiła poważną minę.

- Kocham cię, Stephanie, księżę Kastylji - rzekła, spoglądając z miłością w pogodny, teksaski błękit jego oczu.

Ogarnęła spojrzeniem całą jego postać. Na włosach odcisnięty miał ślad po kapeluszu, który teraz trzymał w ręku, zza nie dopiętej pod szyją koszuli widać było jego szeroką pierś, a u kowbojskiego pasa połyskiwała w słońcu duża klamra.

- Lecz muszę przyznać, że najbardziej kocham cię jako księcia Teksasu - dodała Mandy.

Obsypał pocałunkami jej twarz.

- A ty zawsze będziesz moją teksaską księżniczką. Obejmując się, weszli do domu.

Mandy promieniała. Zamieszka z ukochanym na piętrze, w starym pokoju Nany i dziadka. Będą musieli zamontować klimatyzację, bo chociaż jesień była już za pasem, noce zapowiada się szczególnie gorące.

Dawno temu pewna młoda kobieta porzuciła cywilizowaną Atlantę i w pogoni za wielką miłością zamieszkała właśnie tutaj. A dzisiaj? Księżę z dalekiego kraju, porzucając swój pałac i rezygnując ze sprawowania rządów w swoim państwie, oddał władzę siostrze, aby móc przyjechać tu, gdzie znalazł dom; miłość i szczęście.